

Anna Morawska

DZIECKO SZCZĘŚLIWA

Od autora

Więzy krwi, zniszczona psychika – co ich jeszcze łączy? Nieustanna walka. Walka o życie. „Dziecko szczęścia” to portret pokolenia dzieci ofiar obozów koncentracyjnych. Jest ich w Polsce... ? setka. Trudno przebadac genetycznie wszystkie dzieci pokrzywdzone przez historie, dlatego źródła naukowe milczą na ten temat. Wszystkie dzieci ofiar faszystowskich Niemiec mają uszkodzony układ nerwowy. Aby przebadac je genetycznie tylko pod tym kątem trzeba przebadac kilkanaście segmentów genów. A przebadanie tylko jednego kosztuje około tysiąca złotych. Narodowy Fundusz Zdrowia refunduje niektóre badania. Akurat te, które mogłyby rozwiać historyczne wątpliwości – nie refunduje. Niektórzy lekarze od lat próbują poznać tajemnicę pokolenia drugiej generacji, ale schodów jest tak wiele, że żadnemu z nich nie udało się dotrzeć na szczyt najwyższej wieży na świecie, która nazywa się prawdą.

O procesach...

O zadośćuczynieniu finansowym kombatantom... i o zarobkach ich dzieci...

„Dziecko szczęścia” to wielogodzinne rozmowy, którym nadałam taką formę, by jak najwierniej odzwierciedlić świat zewnętrzny i wewnętrzny moich bohaterów. To rodzice i ich dzieci. Więźniowie i ofiary. „Dziecko szczęścia” to powrót do historii, której ci, którzy ją przeżyli, nie potrafią wymazać z pamięci. Ona powraca codziennie jak zjawy - na jawie i we śnie. Kilkadziesiąt lat po zakończeniu drugiej wojny światowej więźniowie obozów koncentracyjnych nie przestali być numerami, nie przestali meldować się po niemiecku. Ci ludzie wciąż pamiętają imiona, nazwiska, daty – nie roczne, a dzienne, czują zapach palonych ciał, co noc śnią im się twarze ofiar i katów, słońce i wolność widziane podczas transportu przez szczeliny w pociągu towarowym. Po latach już tylko pojedyncze klatki filmu, który wyreżyserowało życie obozowe, kręcą się w kółko w świadomości bohaterów.

Ale to nie jest książka o więźniach obozów koncentracyjnych. Takich napisano już wiele. To nieustająca rozmowa z ludźmi i o ludziach, której końca nie ma. Historia nie postawiła jeszcze kropki nad „i”. Poprzez doświadczenia rodziców możemy lepiej zrozumieć życie ich dzieci. Poprzez przyczyny - skutki. „Dziecko szczęścia” ma pokazać obraz pokolenia drugiej generacji, które niewątpliwie istnieje.

* * *

Cały dochód z tej książki chciałabym przeznaczyć dla dzieci ofiar obozów koncentracyjnych. Skoro ani państwo polskie, ani tym bardziej niemieckie nie chcą im pomóc. Pieniądze są im potrzebne na rehabilitację, lekarstwa, badania (nierefundowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia) i – tak zwyczajnie – na godne życie.

JERZY SKRZYPEK

MUSIK IN AUSCHWITZ

Im Lager Auschwitz war ich zwar (Byłem wprawdzie w obozie Auschwitz)
ho-la-ria ho-la-rio
auf einen Monat, Tag und Jahr (każdego miesiąca, dnia i roku)
ho-la-ria ho-la-rio
Doch denk ich frohgemut und gern (myślałem z radością i chętnie)
an meine Lieben in der Fern (o mojej ukochanej, która jest gdzieś daleko)

Tak nam kazali śpiewać. Dzień w dzień, rano i wieczorem. Jak szliśmy i wracaliśmy z pracy, grała orkiestra. Kapo krzyczał: - *Links und links* (lewa, lewa), a nasze drewniane buty stukały do rytmu.

W orkiestrze grali więźniowie, którzy pracowali w kuchni. Zawsze musieli wstawać najwcześniej. Mieszkali na bloku 25. Musieli przygotować dla nas kawę. Palono zboże i zalewano wodą. Dwóch czy trzech więźniów pilnowało, żeby kotły stały na ogniu, bo nie było łatwo zagotować 300 czy 400 litrów wody. Potem przelewali to do 50-litrowych termosów i taką „kawę zbożową” podawali nam na śniadanie. A dokładniej dostawaliśmy ją od sztubowego na bloku.

O piątej rano w całym obozie rozbrzmiewał „bączek”. Dzwonił tak głośno, że nie sposób było się nie obudzić. Biegło się do niby-łazienki. Zimną wodą czasem można było ochłapać sobie twarz. „Kawa zbożowa” i pędem na apel.

W Auschwitz było 30 bloków. Każdy blok ustawiał się w rzędach po dziesięciu więźniów. Tak było im najłatwiej nas policzyć. Każdy Blockführer meldował Raportführerowi Gerhardowi Palitzschowi (podoficerowi SS), ilu ma u siebie więźniów. Palitzsch szedł do komendanta obozu i wołał: - *Heil Hitler! Melde, dass in KL-Auschwitz alles in Ordnung ist.* Ten mu odpowiadał: - *Weiter machen!*, a więc „rób swoje”.

- *Alle Kommandos, alle! Ustawialiśmy się w grupach zgodnie zadaniami, które wykonywaliśmy, np. razem stali stolarze, razem elektrycy itd. Każda setka więźniów miała swojego kapo, a kapo miał jeszcze swoich pomocników, ze dwóch trzech bandziorów z czarnymi albo zielonymi winklami, którzy nas pilnowali, żebyśmy maszerowali równym krokiem. Słyszemy komendę: - *Alle Kommandos singen!*, czyli śpiewać! I wszyscy:*

An jedem Monat in der Früh (Każdy miesiąc od samego rana)
ho-la-ria ho-la-rio
beginnt des tages Last und Müh (przynosi codzienny ciężar i trud)
ho-la-ria ho-la-rio
Ob Arbeitsdienst, ob Sport uns zwingt (czy zmusza się nas do pracy, czy do sportu)
doch stets ein frohes Lied erklingt (tak mimo to rozbrzmiewa ta wesoła piosenka)

- *Lauter!* - „głośniej” krzyczał kapo. Do pracy szliśmy piątkami. To było cyniczne życie.

TO NIE KURORT

Jesień 1940 roku. Jechaliśmy wagonem bydlęcym w siną dal. Nie wiadomo dokąd i po co. Byliśmy zamknięci, stłoczeni i całą drogę musieliśmy stać. Nie można było ani usiąść, ani się położyć. Było strasznie ciasno. Pociąg raz się zatrzymał. Na dworze było szaro. Noc już minęła, a dzień jeszcze nie nastał. Mój przyjaciel Zygmunt powiedział: - *Jesteśmy w Katowicach*, a Roman dodał: - *W takim razie jedziemy do Auschwitz*. Pociąg ruszył.

I znów się zatrzymał: „Raus!”. Wszyscy wysiedli. Rzuciłem okiem w prawo i w lewo. Naliczyłem około 150 osób. Mogłem się pomylić, bo nie przyjrzałem się dobrze. Kiedy tylko ktoś kręcił głową, esesman od razu bił w twarz. - *Głowa do góry i równym krokiem marsz!* – usłyszeliśmy rozkaz. Przyszliśmy do tzw. obozu macierzystego, stanęliśmy pod bramą „Arbeit macht frei”. Tam już czekał na nas esesman. Poczułem „dicke Luft”. Nastąpiła tak ciężka atmosfera, że nie sposób tego opisać. Schutzhaftlagerführer (komendant ochrony obozu) Fritzsch patrzył na nas długo i w końcu się odezwał: - *Tak panowie, to nie jest kurort. Tutaj się pracuje. Każdy z was przyjechał do Auschwitz, bo jest świnia, brudną świnia, która nie chce pracować dla Trzeciej Rzeszy i naszego ukochanego Führera. Zrozumiałem w momentalnie, że Auschwitz może być ostatnią stacją, na której wysiadłem w życiu. - No tak, później możemy się poznać. Na prawo patrz, równym krokiem marsz!* – dodał Politischeabteilungsführer (polityczny oddziałowy komendant) Grabner. Zerknąłem jeszcze ukradkiem na pociąg stojący w oddali i... przeszedłem na stronę, z której praca czyniąca

istotnym przedmiotem

wolnym wyglądała nieco inaczej.

Poszliśmy prosto do łaźni. Musieliśmy oddać nasze ubrania, w zamian dostaliśmy „pasiaki”. Oprócz tego każdy z nas otrzymał kawałek szaro-zielonego mydła, na którym były wytłoczone trzy litery RIF. Nie wiem, co to znaczyło, ale ktoś kiedyś powiedział mi, że to Rein Judische Fet, czyli świeży żydowski tłuszcz. Nigdy się nie biłem, chociaż było wiele okazji i powodów, tak tego dowcipnisia wziąłem za kark i rzuciłem nim o ścianę.

Jak się umyliśmy, przyszedł tłumacz, więzień, który miał listę i zaczął wyczytywać nasze nazwiska: - *Jerzy Skrzypek, od dziś, zapamiętaj do końca życia, jesteś numer 5869*. Na kawałeczku materiału musiałem atramentem napisać „5869” i przyszyć sobie do „marynarki”, a drugi kawałek materiału z numerem także do spodni.

Kazali nam pójść na blok 25. W korytarzu czekał na nas więzień, który trzymał w jednej ręce puszkę z atramentem, a w drugiej kawałek drewnianej deski z wbitym gwoździem. I wytatuował mi mój numer. Tak głęboko wbił gwoździec, że myślałem, że oszaleję z bólu. Ropa zaczęła mi się zbierać wokół rany. Dzięki Bogu dostałem kawałek materiału, którym mogłem owinać rękę. Miałem szczęście, bo po pięciu, czy sześciu dniach rana się zagoiła.

Tak minął pierwszy dzień tak zwanej kwarantanny. Nie wiedzieliśmy, co powinniśmy robić. Tu iść, czy gdzie indziej? Tam jest zabronione, tu „uważaj!”. Byliśmy przegrani. Poszliśmy na blok 10. To jest na samym końcu obozu, zaraz obok bloku 11 i podwórza, gdzie Palitzsch rozstrzelał wielu więźniów. Podczas podróży nie dostaliśmy nic do jedzenia. Przez pierwsze trzy dni też nic. W końcu przyszedł do nas Stubenältester (starszy sztubowy) Jupp. Był strasznie gruby. Usiadł na łóżku i zaczął z wielkiej miski wsuwać twarożek. Ta miska była wielkości hełmu. Zjadł wszyściuteńko sam. A my siedzieliśmy w kącie na podłodze i patrzeliśmy na niego jak dzikie psy, kiedy pożerał spokojnie swój twarożek. Każdy z nas miał

pusty żołądek. I nagle przyszedł ten prosiak i zaczął wsuwać przy nas wielką łychę świeżuteńki twarożek.

WIĘŹNIOWIE FUNKCYJNI

Jupp był Niemcem. Trafił do Auschwitz w pierwszym transporcie z Sachsenhausen. Miał numer 30 i zielony winkiel. Ludzie z tego transportu otrzymali różne funkcje: Stubeältester, Blockältester, Küchenkapo, Effektenkammerkapo (zbierał wszystkie rzeczy od więźniów), Lagerkapo (Karol) i Lagerältester – najstarszy więzień w obozie - numer 1. Ten nie miał winkla tylko kawałek materiału z numerem 1, nazywał się Bruno. Nie miałem z nim nigdy do czynienia. Dzięki Bogu! Ale Karol to był dopiero idiota. Biegał po obozie z pałą i kiedy go ktoś omijał, po prostu ni stąd ni zowąd go lał. Jak przyszedłem do obozu, to była jeszcze jedna nowa funkcja – Krankenmann. Kapo, który pracował w szpitalu. To był morderca. Potrafił zabić jednym ciosem. Bił zawsze po nerkach i wątrobie. Nikt nie jest w stanie policzyć, ilu więźniów wykończył. Stubeältester nadzorował swoją sztabę, Blockältester nadzorował wszystkie sztaby.

Więźniowie funkcyjni to byli kryminaliści. Przyjaźnili się. Jeden poszedł do kuchni i mówi: „Toni, daj mi coś do jedzenia” i dostawał kawałek kiełbasy. Znajomości. Dostawali zupę jako pierwsi - z góry, z tłuszczem, a my dostawaliśmy samą wodę z dołu. Dostawaliśmy pół litra ciepłej wody, nazywaliśmy to Wassersuppe. Funkcyjni mieli wszystko, co chcieli. Mogli sobie wszystko zorganizować, począwszy do mąki po alkohol. Blockältester Bischoff często był pijany. Siedział w pokoju u Blockführera i pili razem schnapsa. Ja też byłem ciągle pijany, ale z głodu.

Kapo był panem życia i śmierci. Zabił kijem dwóch czy trzech więźniów, bo nie mieli już siły pracować. A jak przyszedł Komandoführer, czyli dowódca, i zapytał, co się stało, to kapo mówił: - *To był śmierzący leń. Jak mu powiedziałem, żeby się ruszał, to powiedział do mnie: Du deutsche Schweine! Panie komendancie, czy ja jestem niemiecką świnia?* Kapo nie bał się niczego i nikogo.

Jak esesman zobaczył więźnia, który próbował uciec z komanda, z pracy, to spuszczał psy z łańcucha. Głupiemu warchlakowi wydawało się, że już jest wolny, bo siedzi w krzakach. Wrócił jednak szybko do obozu w pysku esesmańskich wilczurów. Powieszono go przy kuchni. Na piersi miał tabliczkę: „Hurra, hurra, ich bin wieder da” („Hurra, hurra, znów jestem z powrotem”). A esesman dostał w nagrodę pięć dni urlopu.

SZKOŁA PRZETRWANIA

Trzeciego dnia zostaliśmy wysłani do pracy. Musieliśmy biegać z taczkami i przewozić muł z jednego miejsca na drugie. Nikt tego nie potrzebował, a my musieliśmy szybkim krokiem zasuwac z taczkami. Do tego była jeszcze beznadziejna pogoda. Cały czas padało. Nikogo to nie obchodziło. Gdyby ktoś poprosił o nowe, suche ubranie, byłaby to ostatnia prośba w jego życiu. W spodniach mieliśmy jedną kieszeń na kawałek papieru toaletowego. Ale po co? Jelita mieliśmy puste.

To jak długo i ile dni w tygodniu pracowaliśmy zależało od roku i kto akurat był dyżurnym. Kadra kierownicza SS ustalała między sobą, kto dzisiaj będzie odbierał raport, kto jakie

komando obejmuje, kto ilu i do jakiej pracy potrzebuje. Na teren obozu nie wolno było nikomu wejść bez zgody Palitzscha albo Fritzscha (ten był odpowiedzialny za porządek).

Więźniowie z Leichenträgerkomando przenosili trupy do krematorium. Po porannym apelu codziennie kilka trupów z bloków się wywoziło. Ludzie umierali z przemęczenia, na zawał serca. Byli tacy, co w nocy się budzili i pędem biegli do drutów. Nie wytrzymywali. Wtedy na chwilę wyłączano w obozie prąd i zabierano trupy, które więźniowie z Leichenträgerkomando rozbierali. Ubrania szły do prania, a nagie zwłoki wrzucali na drabiniastą furmankę i przewozili do krematorium. Wszystko musiało być policzone – ci, którzy leżą w komorze, przed piecem i ci, których w tej chwili się palą.

Bałem się krematorium. Trupy na furmankę tylko raz wrzucałem. Przez przypadek. Przechytryłem samego siebie. Stasiak, fryzjer i sztabowy, pozwolił mi zostać w obozie, bo słabo się czułem. Poszedłem z wiadrem do umywalni po wodę i w tym momencie jak zjawa wyrósł koło mnie esesman: - *Was machst Du denn da? Co tu robisz?* Mówię, że jestem Stubedienst, że sprzątam. Kazał mi zostawić wiadro i pójść za nim. Więc poszedłem. Co miałem mu powiedzieć, że nie chcę? Że nie mogę? Że źle się czuję? Okazało się, że w Leichenträgerkomando brakowało dwóch osób, żeby trupy załadować na furmankę. To była dla mnie ważna nauka: nie zostawaj nigdy w obozie, idź zawsze na komando, czyli do pracy.

WAŻNA LEKCJA

Cały obóz miał około czterdziestu hektarów. Każdy, kto tam mieszkał, musiał mieć świetną orientację w terenie. Któregoś dnia spotkałem kolegę: - *Cześć Mandolina, na miłość boską, co ty tu robisz? Kiedy przyjechałeś do Auschwitz?*

Podczas wojny należałem do zrzeszenia „Longusa”. Rozdawałem z kolegami gazety na ulicy, które sami produkowaliśmy domowymi sposobami. Pewnego pięknego dnia nasz kolega Hipek, który do tej pory nam pomagał, zdradził nas Gestapo. Nie wiedzieliśmy, że jego ojciec był volksdeutschem. Cała nasza grupa została złapana – siedemnaście osób. Przewieziono nas do więzienia na Pawiaku. Przesłuchania były na Szucha. Pamiętam, że na ścianie wisiał wielki obraz Führera Adolfa Hitlera, a na wieszaku wisiał esesmański płaszcz i pejcz. Pierwsze przesłuchanie nie było zbyt ciężkie. Odpowiedź na pytanie, skąd miałem w domu gazety, wymyśliłem na poczekaniu - znalazłem je na ulicy. - *Kłamco, podły oszuście!* - dostałem kilka razy w twarz.

Drugie przesłuchanie było jednym z najgorszych przeżyć w moim życiu. Przy stole siedziało dwóch mężczyzn naprzeciwko siebie. Chcieli wiedzieć wszystko o tych, którzy działali w naszej organizacji. Ciągłe baty: - *Kto? Nazwisko? Gdzie mieszka?* Pytania były tłumaczone na język polski. Tłumacz pochodził ze Śląska. - *Nic nie wiem, a gazety znalazłem na ulicy.* Dostałem w pysk. - *Kto był jeszcze z tobą?* - *Nic nie wiem, a gazety znalazłem na ulicy* I znów baty pejczem, a potem poprawili ciosem w kark kolbą karabinu. To był stary polski karabin. Nie miałem siły, żeby wyjść stamtąd na własnych nogach. Jakiś dwóch mężczyzn zaniósł mnie do więziennej ciężarówki.

Miałem jedno wyjście – udawać idiotę. W przeciwnym razie od razu trafiłbym do lasu na Palmiry koło Warszawy i zostałbym rozstrzelany. Wiedziałem o tym. Mówiłem w kółko „gazety znalazłem na ulicy” i w twarz. Skończyły się przesłuchania, zamknięto protokół i po czterech miesiącach spędzonych na Pawiaku, znalazłem się w transporcie do Auschwitz.

Pierwsze dni, tygodnie, miesiące zniosłem bez większych problemów i stałem się w końcu starym więźniem, a nie rekrutem. Nauczyłem się, co mogę robić, a czego mi nie wolno. W obozowe życie wprowadził mnie mój kolega Jurek Orłowski z Warszawy, który już od dawna był w Auschwitz: - *Jurek, po pierwsze nie możesz pić wody z kranu. Możesz w niej umyć tylko ręce czy twarz, ale nie wolno ci jej pić. Żadnych pytań. Po drugie raz w tygodniu dostajemy pół litra Wassersuppe. Często można w niej znaleźć pół brudnego ziemniaka. Nie wolno ci tego jeść. Wiem, że przykro ci to słyszeć, ale od tego brudnego ziemniaka możesz dostać durchfall (rozwolnienia). Kiedy ta trucizna trafi do obiegu krwi, umrzesz. Wtedy nie masz szansy przeżyć. Ale jeśli jesteś bardzo głodny, masz do pięciu dni szansę, żeby sobie coś zorganizować.* To była najważniejsza lekcja w moim życiu.

- *Jurek, gdzie pracujesz?* – zapytał mnie Jurek Orłowski. - *Biegam z taczkami u Krankenmanna. – Muszę ci coś innego zorganizować. - Jeśli masz jakąś robotę pod dachem, to każda inna będzie lepsza.* Po trzech, czy czterech dniach dostałem wiadomość, że jest wolne miejsce w Betonkolonne. Robiło się tam przeważnie rury, ale też kafle chodnikowe. W końcu trafiłem na dobre komando. Przestałem bać się kapo, bo to był normalny człowiek. Zupełnie inny niż Krankenmann, który miał taką siłę w łokciu, że potrafił zabić jednym ciosem. W naszym jego komando było stu więźniów. Nie ważne czy leżących, a więc martwych, czy jeszcze stojących, ale musiało być sto sztuk. Wielu ludzi umierało podczas pracy. Ciężkiej pracy, której nikt nie potrzebował. Ale trzeba było cały czas biegać z taczką, praktycznie nie otrzymując przy tym jedzenia.

W obozie była Kantyna, czyli sklep, z którego mogli korzystać więźniowie. Ale skąd wziąć pieniądze? Polak z Generalnej Guberni nie dostawał pieniędzy. Nie było takiej możliwości. Marki mógł przysłać Niemiec z terenu Rzeszy. Trzeba było napisać podanie do Reichbanku, że chce się wysłać danemu więźniowi 20 czy maksymalnie 40 marek. Bank musiał wyrazić zgodę, żeby niemieckie, wspaniałe marki wysłać do Guberni. Niemcy, którzy siedzieli w Auschwitz, a było ich niewielu, to przeważnie mordercy. Przychodziły pieniądze dla więźnia numer taki i taki, o nazwisku takim i takim. Tylko ten, kto miał pieniądze na „koncie”, mógł raz w tygodniu zrobić zakupy. W Kantynie obozowi bogacze kupowali papierosy tzw. „zorki”, kiszone buraki, zupę kminkową, rozkładające się śledzie, ale taka atrakcja często kończyła się w krematorium. Więzień pieniędzy nie widział na oczy. Przy wejściu do Kantyny stał więzień, który sprawdzał, czy więzień np. 112500 ma na swoim „koncie” jeszcze jakieś marki. Jak przyjechaliśmy do Auschwitz, to zabrano nam wszystko. Mieliśmy tylko „pasiaki” i czasem kawałek papieru toaletowego. W Auschwitz pod koniec '43 r. co niektórzy dostawali kupony i w nagrodę za swoją nieuczciwość czy okrucieństwo mogli pójść do PUF-u, czyli do obozowego burdelu.

„MAMA, PAPU”

W komando DAW pracowałem jako elektryk. Od rana do wieczora. Mieliśmy też nocne zmiany, bo w obozie światło musiało palić się całą dobę. Naszym zadaniem było wymienianie spalonych żarówek.

Któregoś dnia mój kapo mówi do mnie: - *Ty długi, choć no tu. Idź sprawdzić żarówki w obozie.* Jego twarz... jest już niewyraźna. Wyraźnie widzę tylko jedną - małego chłopca, który stał za drutami w Birkenau.

Obozy były poprzedzielane drutami kolczastymi - Judenlager, Cigonelager, Meksyk, Birkenau dla mężczyzn, dla kobiet. A druty były pod napięciem. Miałem wózek dziecięcy, a w nim narzędzia: śrubokręt, cęgi, obcęgi itp. Wspinałem się po słupowłazach i waliłem młotkiem w drewniany słup. Jak lampa się nadal paliła, szedłem do następnej. Jeśli zgasła, wkręcałem nową żarówkę.

Któregoś dnia wdrapałem się na słup, wykrecam żarówkę i słyszę cichy pomruk: „Pan, pan...”. Patrzę na dół, nikogo nie ma. Znow słyszę tylko już głośniejsze: „Pan, pan, papu!”. Co widzę? Po stronie Birkenau idzie w stronę mojego wózka, a przy tym prosto na druty, trzy-, czteroletni chłopiec. - *Uciekaj, odejdz, idź stąd!* – zatrzymał się na szczęście. Wrzeszczałem na niego i schodziłem czym prędzej z tego słupa. Gdyby to był inny dzień... Zwykle miałem w wózku kartofel, czy brukiew, a nawet pajdę chleba. Dałbym mu. Ale akurat nie miałem nic. Chłopiec w końcu odszedł. Wołał: „Mama, papu, mama...”. Do dziś słyszę ten głos.

Bezsilny pchałem mój wózek i poszedłem prosto do kapo. Powiedziałem, że nigdy więcej nie będę wymieniać żarówek. Zacząłem pracować w stolarni, też na komando DAW.

Pierwszego dnia podszedł do mnie kapo i pyta mnie: - *Kim jesteś z zawodu?* – *Stolarzem* - odpowiedziałem. – *W takim razie idź na halę 1 do kapo Roberta.* Więc poszedłem. Kazali mi ciąć deski. Sympatyczna fabryka. Mieliśmy ciepło, bo na środku hali stał duży piec. Piekliśmy w nim ziemniaki. Nabijałem ziemniaka na drut i piekłem w ogniu. Ziemniaki w mundurku naturalnie. I potem je wymieniałem na inne rzeczy. Piec oczywiście nie służył do smażenia ziemniaków. Układaliśmy przy nim świeżo wyszlifowane i pomalowane deski, które schły całą noc. W baraku numer 3 naprawialiśmy narty, a w 1 i 2 budowaliśmy domy dla żołnierzy Wehrmachtu, które były wysyłane do Rosji.

Niedaleko od DAW było komando Kanada, symbol faszystowskiego bogactwa. Segregowano tam żydowskie rzeczy. Niemcy okradali ludzi, którzy przyjechali do obozu. Więźniowie z Kutscherakomado przewozili łupy do Kanady - złote zęby, biżuterię, buty, spodnie, dobre alkohole, holenderskie sery, sardynki, czy zwykłe kanapki, które ludzie brali do pociągu na drogę. Lagerführer nie wiedział, co robić z tym chlebem. I w końcu wymyślił. Kazał z niego gotować zupę. Ten rarytas dostawialiśmy co piątek. W przepysznej zupie chlebowej znalazłem kiedyś damski zegarek.

W '42 roku esesmani zrobili rewizję osobistą wszystkim więźniom pracującym na DAW. Macali nas wszędzie. Sprawdzali, czy czegoś nie przemycamy do obozu. Za kawałek ołówka w kieszeni dostawało się kilka razy w mordę i kijem w grzbiet.

Mój przyjaciel Genek Vetulani pracował w Bauhof, gdzie zwożono materiały budowlane. Jego ojciec był profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zdradzony Gestapo wraz z synem Eugeniuszem trafił do więzienia w Krakowie. Potem do Auschwitz. Po dwóch miesiącach profesor Vetulani zachorował i nagle zmarł. Rano na apelu Genek zameldował: - *Panie Blockältester, to mój ojciec. Mogę go zanieść do krematorium?* - *Tak, możesz. Twój numer?* To było pierwsze krematorium w Auschwitz. - *Jurek, nawet nie płakałem* – powiedział mi później Genek. - *Nie miałem siły, żeby płakać.*

Z ludzi tylko popiół zostawał. Jedyne ślad potwierdzający ich egzystencję. Kiedy wiał wiatr od Birkenau w naszą stronę do Auschwitz, można było zwariować. Nigdy bym nie pomyślał, że palone ludzkie ciało może tak śmierdzieć. I te kawałki popiołu w powietrzu...

CICHA, ŚWIĘTA NOC

Grudzień '42 roku - tuż przed Bożym Narodzeniem. Któryś z esesmanów wydał rozkaz: wykopać więźniów! Około północy kazano nam wyjść przed blok na golasa. Za oknem mróz minus dwadzieścia stopni, może więcej. Śnieg pod nogami przygrywał nam: chrup, chrup, chrup... Wchodzę do umywalni. W odległości około pół metra od siebie stoją dwa taborety. Trzeba było na nie wejść i stać w rozkroku. Pfleger, czyli sanitariusz, miał przed sobą kubeł wody zmieszanej z lizolem. I zabiera się za odkażanie. Patykiem owiniętym kawałkiem szmaty szorował mi krocze, nam wszystkim. Paliło jak cholera. Czulem, że pewna część mojego ciała zaraz mi odpadnie. A on miał niezwykle ubaw.

Znów nas wygonili na mróz. Poleli nas raz zimną wodą, raz gorącą. Para. Nic nie widać. Słychać tylko: - *Raus! Schneller! Szybciej!* Otworzyła się brama między pierwszym a drugim blokiem i wszyscy gdzieś biegną. Przede mną na wyciągnięcie ręki nagle ktoś się zatrzymuje, chwyta za serce i już go nie ma. Ludzie padali jak muchy.

Wielkanoc, czy Boże Narodzenie - to były tragiczne dni. Pamiętam dokładnie 24 grudnia '42 roku. Więźniowie opowiadali, co przed wojną stało u nich na stole: „U mnie zawsze były pyszne ryby”, „A moja mama sama robiła kielbasy”, „U mojej ciotki nigdy nie zabrakło na stole sernika”. Tylko słychać było jak nosy chlupią. Nie dostaliśmy od Świętego Mikołaja żadnego prezentu. Żeby chociaż zupa była bardziej gęsta. Żeby chociaż dali kawałeczek sera albo kielbasy. Nie, nic.

Byłem wtedy na bloku 18A. Kiedy zgaszono światło, ktoś po cichutku zaczął śpiewać: „Dzisiaj w Betlejem, dzisiaj w Betlejem wesola nowina...”. Co chwilę kolejny głos dołączał aż zrobiło się za głośno. Przyszedł Palitzsch, zapalił światło, wydarł się świątecznie: „Alles raus!” i wszystkich wypędził na dwór. Staliśmy na mrozie w kalesonach. Kto zdążył, w biegu chwycił pasiastą kurtkę. Ustawiliśmy się w rzędach po dziesięciu. Kara musiała być karą. Po chwili dołączyli do nas więźniowie ze wszystkich pozostałych bloków.

To była piękna noc. Niebo czyste, rozświetlone gwiazdami chyba prosto z Betlejem. Przy obozowej kuchni lśniła choinka. – *Śpiewać!* – wydarł się Palitzsch. - *Stille Nacht Heilige Nacht... - Lauter! Głośniej!* – krzyczał Palitzsch. A Lagerkapo Karol przyglądał się, który blok za cicho śpiewa. Pierwszego lepszego więźnia bił kijem po głowie. I tak ta nasza „Cicha i święta noc” trwała około trzech godzin. Staliśmy prawie po kolana w śniegu. W końcu usłyszeliśmy od Palitzscha długo wyczekiwaną komendę: - *Do bloków marsz!* Po tej obozowej Wigilii przed każdym blokiem leżały trupy.

CEBION

Przy moim komando DAW kobiety pracowały na polu. Dzieliła nas droga. Dzielili nas druty. Dzielili nas esesmani i kapowie. Któregoś grudniowego dnia w '42 roku podszedł do mnie Genek Vetuleni: - *Jurek, pracujesz w DAW. Codziennie spotykasz kobiety, które idą do pracy. Podrzuc im małą paczuszkę, którą dostaniesz w szpitalu od Piotra. Piotr jest tam portierem. Musisz tylko uważać, której to dać. Jedna będzie mieć przewiazaną na głowie chustkę i co chwilę będzie ją sobie poprawiać. To będzie dla ciebie sygnał.* Dostaliśmy wiadomość, że jedna z kobiet właśnie urodziła dziecko. Była bardzo słaba. Musieliśmy jej pomóc.

W paczusce był cebion, czyli witamina C, taki beżowy proszek. Podrzuciłem go kobiecie, która dała mi umówiony znak. Drugi raz też mi się udało, a przy trzeciej próbie przyłapała mnie esesmanka. Zauważyła, kiedy przerzuciałem paczuszkę. - *Ty podły psie!* – zaczęła mnie bić pejcem po głowie, plecach i potem uderzyła mnie ręką w twarz z taką siłą, że zrobiłem piruet i padłem. Zaczęła mnie kopać i krzyżeć: - *Wstawaj świnio!* - znów uderzyła mnie w twarz. - *Numer?* – *Więzień Polak numer 5869, melduje się posłusznie.* Zanotowała.

Myślałem, że mi się upiekło, a tu po kilku dniach, może po tygodniu, Blockältester Bischoff zaczepił mnie: - *Ty długi, zostajesz dziś w obozie, nie idziesz do pracy.* Zostałem przy wejściu do bramy „Arbeit macht frei”, a ze mną około 10 czy 14 mężczyzn. Podszedł do nas Rapportführer Palitzsch i woła: - *W lewo zwrot, równym krokiem marsz, kierunek – blok 11!* Zacząłem drzeć z przerażenia. Zrozumiałem, że to już koniec.

Blok 11 – słynny blok śmierci. Zaprowadzili nas do piwnicy, do celi. Było zupełnie ciemno, żadnego krzesła. Siedziałem na podłodze kilka dni. Nie wiedziałem, czy jest dzień czy noc. W końcu przyszedł po mnie pisarz blokowy Janusz Pilecki: - *Jurek, chodź do Schreibstube (do kancelarii).* Zmierzyłem go wzrokiem i momentalnie uświadomiłem sobie, że przecież tam siedzi morderca Grabner. Potem po kilku minutach stanąłem przed Palitzschem: - *Ty polska świnio! Dlaczego tak stary więzień robi takie głupoty?* Milczałem. – *Dwa lata karnej kompanii* – dodał Grabner. Dzięki Bogu dostałem karę. Lepsze dwa lata karnej kompanii niż rozstrzelanie. Przesiedziałem jeszcze kilka dni w piwnicy i trafiłem na blok 12.

To był blok po przeciwnej stronie obozu. A tam znów ceremonia i nowe ciuchy. Rzeczywiście, naprawdę nowe pasiaki. Nie ważne czy spodnie były do łydek, czy za szerokie. Później się wymienialiśmy. Byliśmy tam jeszcze około dwóch dni i gruchnęła wiadomość, że pakują nas w transport. Około 1000 osób.

JAK PRZEŻYĆ?

W obozie zawsze uciekałem. Staralem się robić wszystko, żeby jak najrzadziej spotykać na mojej drodze esesmanów. Przez przypadek nie zdejmę czapki, nie spojrzę na lewo czy prawo i dostanę w pysk kijem, bo ręki by nie chciał sobie pobrudzić. Jednym ciosem mógłby mi złamać czaszkę, wybić zęby.

Nie tylko esesmani nas wykańczali, również choroby. Czasem najzwyczajniejsze, jak bolący ząb. Szło się do szpitala. Jeden więzień trzymał za głowę, a drugi wrywał ząb starymi kombinerkami. Także bardzo dużo ludzi zmarło z powodu rozwolnienia, na które w obozowej gwarze z niemieckiego mówiliśmy durchfall. Brudny ziemniak i już po zabawie.

Więźniowie rosyjscy wynaleźli „nóż” - ostrzyło się o jakiś kamień łyżką aluminiową. Takim nożem kroilo się ziemniaka w cienkie plasterki i kładło na chleb. Kanapkę posypywało się solą, ale tylko odrobinę, żeby wystarczyła na dłużej, bo był to jeden z najdroższych artykułów w obozie. Jak się miało sól, to się ją zawijało w kawałek szmatki i nosiło zawsze przy sobie. Chleb z ziemniakiem i solą miał zatrzymać rozwolnienie. A najdroższym artykułem był cebion – cudowny lek na wszystko. W Auschwitz miał wartość brylantu. Więźniowie organizowali witaminę C od ludzi mieszkających przy obozie. Jak się dostało durchfall, to człowiek ratował się, czym tylko się dało i co kto odpowiedział.

Po środku każdej sztuby w Auschwitz stał kamienny piec, którego pilnował jakiś więzień. Żeby móc coś upiec, musiałem mieć od niego pozwolenie. - *Słuchaj Antek, mam cztery*

kartofle. Mogę je sobie upiec? Zwykle się zgadzał, ale szybko dodawał: - Dobra, ale dwa dla mnie. No i co? Musiał się człowiek zgodzić. Jak się już upiekło te ziemniaki, a raczej spaliło, to się je jadło, bo podobno pomagały na rozwolnienie. Jadło się też spalone drzewo. Przeważnie jednak nie pomagało.

MELDUJE SIĘ POSŁUSZNIE

Ostatnia noc w Auschwitz na bloku 12 w końcu minęła. - *Wstawać! Wszyscy opuścić blok! Ustawić się piątkami* – obudził nas esesman. Mieliśmy czekać za kuchnią na rozkazy. Po drodze minęliśmy komando, gdzie obierało się ziemniaki. Stał tam wielki stół, a na nim leżało dużo chleba i serków topionych. Chleb był pokrojony. Wszystko to widzieliśmy po drodze.

Wsiadliśmy do wagonu towarowego. W każdym wagonie było 50 więźniów – 25 po prawej stronie i 25 po lewej, a po środku siedziało dwóch esesmanów. Jedziemy i jedziemy. Wacek pyta mnie: - *Jurek, czy to przypadkiem nie jest Flossenbürg? Spójrz na prawo.*

Dworzec kolejowy był poniżej, a obóz nieco wyżej. Szliśmy przez miasto ulicą Dali-dali. Zbliżamy się do bramy. Poraził mnie widok znajomej twarzy: - *Wacek, przecież to Fritzsch, mój Boże!* Nie do wiary, Schutzhaftlagerführer Fritzsch we własnej osobie. Przeszliśmy przez bramę „Arbeit macht frei”. Po lewej stronie widzę kamienie. Wszędzie wielkie kamienie. Przyjechaliśmy z nieba do piekła - pomyślałem.

Na środku placu stał Fritzsch. Trzymał ręce w kieszeni: - *Och tak, transport z Auschwitz - zawołał. Więźniowie coś szepczą między sobą. - Spokój, każdy, kto miał już okazję mnie poznać, wystap!* Niektórzy zrobili krok w przód, a ja stałem jak słup soli sparaliżowany ze strachu. Fritzsch szedł wzdłuż szeregu i zaczął nas liczyć. Przechodzi koło mnie. Patrzę w ziemię. Zatrzymał się. - *Ty długi, już mnie zapomniałeś? Co odpowiedzieć? W głowie mętlik: - Nie panie Schutzhaftlagerführer. Melduję się posłuszenie! Przepraszam, jestem zmęczony po podróży z Auschwitz. Wystąpiłem z szeregu. - Wszyscy na prawo patrz, kierunek – kuchnia, marsz!* – rozbijał się o kamienie głos Fritzscha.

Mieliśmy nadzieję, że jako starzy znajomi Fritzscha dostaniemy coś do jedzenia, chociaż jakąś zupę. Poszliśmy za kuchnię, gdzie stał stół. Czekala nas wyjątkowa niespodzianka. Musieliśmy przenieść ten stół przed nasze baraki, a następnie każdy z nas dostał dwadzieścia pięć batów na gołą dupę. Stary znajomy Fritzsch... I tak staliśmy z gołymi tyłkami aż każdy z nas otrzymał swoją premię, po czym nadzy maszerowaliśmy na rewir, czyli do szpitala. Spodnie niosłem w ręku, nie miałem siły ich założyć. Tam czekał już na nas zniecierpliwiony sztabowy z drewnianym kijem obwiniętym szmatą i wiaderkiem z jakimś płynem do dezynfekcji. To chyba był lizol. Szorował nam tym genitalia.

Wróciliśmy z powrotem przed baraki. - *Jak się wam podoba?* – pyta Fritzsch. - *Wszystko w porządku, panie oficerze!* – odpowiadamy. - *Głośnie, głośnie, na Boga! Co jest? Moi starzy znajomi z Auschwitz nie mają siły?* Wydarliśmy się co sił w płucach: - *Wszystko w porządku, panie oficerze!*

Pierwszy dzień można było jeszcze wytrzymać, ale drugiego dnia znów dostaliśmy bity na goły tyłek. Trzeciego dnia myślałem, że zwariuję. Czekamy na trzecią serię, a wśród nas kręci się Erik, pedał. Macał nas po stłuczonych pośladkach. Taki był zadowolony, że sprawia nam ból. A jeszcze większą miał frajdę, kiedy znów zaczął nas bić. Musieliśmy sami liczyć do

dwudziestu pięciu. Jeśli ktoś stracił przytomność, zrzucano go ze stołu, a gdy oprzytomniał, musiał liczyć od początku.

- *Do bloku 13, odmaszerować!* We Flossenbürgu stoją cztery baraki. W każdym po dwustu pięćdziesięciu więźniów. Na tyłach obozu - krematorium. Spaliliśmy na betonowej podłodze. Dostaliśmy trochę słomy do podziału. To była wcześniej pewnie stajnia dla koni.

PRACA CZYNI WOLNYM

Kamieniołomy... Nosiliśmy na plecach gigantyczne kamienie z bazaltu, które rozcinały nam skórę na plecach. Jak się któryś więzień ugiął pod ciężarem i upadł, esesman wybuchnął śmiechem i kazał mu biegać z trzydziesto, czy czterdziestokilogramowym kamieniem hin und zurück, tam i z powrotem. Uczyliśmy się szybko sztuki upadania, kiedy zabrakło nam siły. Jakby się upadło na lewo, a na prawym ramieniu miało się bazalt, to śmierć na miejscu. Trzeba było upaść na kamień. Nigdy na odwrót. To był majstersztyk. Do tego mika między kamieniami. Jest to materiał izolacyjny szkodliwy dla ludzkiego organizmu. Błyszczała jak ziarna wspaniałej brazylijskiej kawy. Tak też ją nazywaliśmy. Mika to w obozowej gwarze kawa.

Kiedy wieczorem wracaliśmy do obozu, okazywało się, że to nie koniec pracy. Czekał na nas jeszcze wielki dwukilogramowy młot, którym musieliśmy rozbijać kamienie na drobne części. Holendrzy - biedni ludzie – powiedzieli: - *Nie będziemy pracować. Chroni nas konwencja genewska. Więźniowie nie muszą pracować. Najwyżej mogą to robić jako ochotnicy i to nie dłużej niż 8 godzin dziennie.* Esesmani tak ich złali, że następnego dnia, płacząc, w podskokach zasuwali do roboty. To była tragedia. Zmuszano nas do pracy w kamieniołomach po dwanaście godzin dziennie. Bez jedzenia. Jeden Włoch powiedział kiedyś: - *Nie ma jedzenia, nie ma pracy.* Zabrali go. Nigdy więcej go nie widziałem.

RÓŻOWI

W pracy wykańczały nas kamienie, a w obozie - homoseksualiści. Było kilku Niemców, którzy masowo gwałcili, kiedy tylko mieli taką fantazję. Po prostu podchodzili do kogoś i mówili: - *Zostajesz dziś na bloku!* Protestujesz: - *Ale dlaczego? Idę do pracy!* Krótka piłka: - *Nie ma mowy, zostajesz!* Hulaj dusza, piekła nie ma! Cały barak pusty. Pamiętam Piotrusia. Został zgwałcony na stole w kuchni. Przy więźniach. Niestety widziałem to na własne oczy. Skuliłem się w kącie. Zamknąłem oczy. Zatkąłem uszy. Nic nie pomogło. Jeden, drugi, trzeci... gwałcili go masowo, a potem wyrzucili na glebę. Piotruś nie wytrzymał tego. Podniósł się z ziemi i poszedł prosto na druty. Kilka wstrząsów. Mgła przed oczami i koniec.

Więźniowie z różowymi winklami nie bali się nikogo. Ten kapo i ten esesman to koledzy z jednej ulicy. Razem grali w piłkę przed wojną. Tylko jeden został mordercą i złodziejem, a drugi esesmanem, czyli też mordercą i złodziejem. Dobrze się rozumieli. Kiedy podczas pracy szliśmy się załatwić, niektórzy esesmani macali chłopców po poślądkach, a potem jednym szybkim ruchem wpychali do dwumetrowego rowu z kupami. Wielu tak skończyło gówniane życie.

POMOCNIK ELEKTRYKA

Nie mogłem wytrzymać we Flossenbürgu. Pewnego dnia na apel przyszło dwóch grubasów cywilów w towarzystwie wyższych oficerów SS. Mieli czarne usta, bo żuli tytoń. Po chwili

jeden z nich wypluł ten tytoń i wydarł się: - *Jest wśród was elektryk? Podnieść rękę!* Wacek Rudnicki (kolega z Warszawy) stał koło mnie. Pytam go, co robimy: - *Chodź Jurek, to na pewno jakaś dobra robota w fabryce, chodź!* - *Ale przecież nie jestem elektrykiem.* - *Nie gadaj głupot. Naprawiałeś kiedyś w domu bezpiecznik?* - *Oczywiście.* Grubas w myśliwskim kapeluszu podszedł do mnie i pyta: - *Jesteś elektrykiem?* - *Nie, jestem pomocnikiem elektryka, szanowny panie.* Spojrzał na mnie, spojrzął na Wacka. Podaliśmy mu nasze numery.

Dwa czy trzy dni później, kiedy już zapomnieliśmy o tej rozmowie, podszedł do nas dobrze nam znany homoseksualista Erik i zawołał przepitym głosem: - *Blok 19, stać spokojnie! Każdy z was, kogo wyczytam, niech wystąpi.* Wyczytał około trzystu więźniów - wielu Polaków (w tym mnie i Wacka), kilku Żydów, Rosjan i Francuzów. Siedmiuset więźniów zostało we Flossenbürgu.

Staliśmy w szeregu. Każdy z nas dostał kawałek starego chleba i mały, okrągły serek. Pożarliśmy to w sekundę i poszliśmy ulicą Dali-dali prosto do pociągu towarowego, który już na nas czekał. Stłoczeni w kilku wagonach jechaliśmy przed siebie. Nikt z nas nie wiedział dokąd. Nie wolno było usiąść. Z resztą nie było jak w takim tłoku. Nagle pociąg stanął. Drzwi się otworzyły i przez moment zobaczyłem wolność. Ludzi jadących na rowerze i spacerowiczów. Pociąg ruszył, a wolność została gdzieś w oddali. Przez szczeliny w deskach wdierały się promienie słońca. Nie dla nas piękna pogoda. To było lato '43 roku. Słychać alarm przeciwlotniczy i świst spadających bomb. Uśmiechnąłem się pod nosem na myśl, że Niemcy oberwali. Ale szybko mina mi zrzędła. Przecież te bomby mogą spaść prosto na nas.

ZŁOTE CZASY

Dworzec kolejowy Dachau. Wsiadamy. Było tak gorąco, że nie mogłem wytrzymać. Zdjąłem moją więzienną „marynarkę” i przewiesiłem sobie przez rękę – niczym džentelmen, który idzie na spacer. Musieliśmy przemaszerować przez całe miasto, żeby dojść do obozu. A ludzie patrzyli na nas z pogardą. Stanęliśmy przed bramą, gdzie czekał na nas esesman z administracji obozowej.

Arbeitseinsatzführer (przydziałał grupy ludzi do danej pracy) dostał dokument od Transportführera. Przeliczył nas. Esesman otworzył bramę i wmaszerowaliśmy do obozu. Poszliśmy na prawo i stanęliśmy obok kuchni. Czekaliśmy beczynnie przez dwie godziny. W końcu przyszedł do nas Janek Domagała i pyta po polsku: - *Chłopcy, skąd przyjechaliście?* Jedni mówią, że z Auschwitz, inni, że z Flossenbürga. Ale właściwie mogliśmy wszyscy powiedzieć, że z Auschwitz, bo mieliśmy numery z Auschwitz. We Flossenbürgu nie dostaliśmy nowych. - *Uważajcie, Dachau jest innym obozem niż wszystkie pozostałe. Po prostu uważajcie i nie róbcie żadnych głupot.* Janek Domagała był obozowym pisarzem. Znał wiele języków. Można powiedzieć, że był „Mädchen für alles”. Mógł robić wszystko. Znał wszystkich esesmanów. Kiedy któryś poprosił go, żeby zawołał Franza, wiedział, kto to Franz i gdzie go znaleźć. Dachau był obozem dla więźniów politycznych. Kiedy przyszedł więzień z zielonym albo czarnym winklem, Janek Domagała przy najbliższej okazji wyrzucał go do Mauthausen albo Buchenwaldu.

Kierunek – łaźnia. Bardzo dobrze znaliśmy tę komendę z Auschwitz. Z prysznicza nie płynęła woda tylko cyklon B. Kazimierz wszedł do łaźienki jako pierwszy i zauważył, że na sitku od prysznicza wisi kropelka wody. Wrócił po nas i przekazał dobrą wiadomość. Potem niczym bohater odkręcił kurek i naprawdę – popłynęła woda. Natychmiast się rozebraliśmy. Nie myłem się przez rok. Moje ciało... musiałem strasznie śmierdzieć. Nie miałem jak się

wykapać. Absolutnie żadnej szansy. Kazimierz odkręcił drugi kurek i z rur popłynęła ciepła woda. Mój Boże, cóż za radość, co za szczęście. Ciepła woda! Nie mieliśmy mydła, ale to nic. Jeden z więźniów całkiem goły wybiegł na plac i przyniósł garść piachu. Kazimierz zrobił to samo i wyszorował mi plecy. Potem ja pobiegłem po piasek i też umyłem mu plecy. Później dostałem od niemieckiego więźnia kawałek prawdziwego mydła. Dałem mu w zamian kawałek chleba. Pobiegłem do Kazimierza: - *Chodź, idziemy do łazienki, mam prawdziwe mydło!* - *Skąd?* - *Nieważne skąd, chodź!* Mogliśmy codziennie korzystać z łazienki. Nie mogliśmy tylko zużywać za dużo wody. To było niesamowite. W końcu mogłem spokojnie umyć się w ciepłej wodzie i miałem prawdziwe mydło. Dostaliśmy nową czystą bieliznę. Starą musieliśmy oddać.

Z Auschwitz wyjechałem z bloku 12 i przez przypadek w Dachau znalazłem się też na bloku 12. Dostałem szafkę, w której była szczotka do butów, talerz, miska i widelec. Nie wierzę - łóżko przygotowane specjalnie dla mnie. A na nim komplet pościelowy i to jaki, trzyczęściowy – poduszka, kołdra i prześcieradło. Wyciągnąłem się jak hrabia, pachnący, w czystej pościeli. Myślałem, że oszaleję z radości Wacek leżał koło mnie na łóżku i płakał. A ja zakochałem się w łazience. Co najmniej dwa razy w tygodniu biegałem pod prysznic. Wszystko co udało mi się zorganizować, wymieniałem na bloku 4 na mydło. To było surowo zabronione, ale mydło było ważniejsze niż zasady.

ZUPA Z KLUSKAMI

Pierwszego dnia mieliśmy kwarantannę w kurorcie, który nazywał się Dachau. Przez trzy dni nic nie robiłem. Mówiliśmy z kolegami: „goldene Zeit in Dachau” – złote czasy. A to dzięki komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, która w obozie patrzyła wszystkim na ręce.

Spacerowałem drogą wzdłuż baraków i spotkałem esesmana, który pyta mnie: - *Hey Langer, wo gascht na?* - *49215 melduje się posłusznie, przepraszam, ale nie zrozumiałem - Nie rozumiesz? Was schafe ma?* - *Nie rozumiem, panie sztubowy.* - *Da bleibste ma tusa i kom scho na!* Stoję zamurowany i nie wiem, co robić. Wacek szedł koło mnie: - *Jurek, co się z tobą dzieje?* - *Nic nie rozumiem, on mówił w jakimś obcym języku!* - *Co ty gadasz? On mówił przecież po niemiecku. Pomyśl, jesteś w Bawarii.*

Sztubowy zapisał coś na kartce i mówi: - *Chodź ze mną!* Poszliśmy do kuchni. To była piękna kuchnia. Wyglądała jak laboratorium. Dostaliśmy dla sztuby trzy pięćdziesięciolitrowe kotły. Próbowałem wywąchać, co w nich jest. Pachniało ładnie, ale nie mogłem podnieść pokrywki, bo była przykręcona czterema śrubkami, żeby nic się nie wylało. - *Sztuba 3, jedzenie przyniesione!* Ustawiłem się w kolejce. Ciekawość mnie zżerała, co jest w kotle. Sztubowy napelnił mi miskę. Myślałem, że oszaleję. Zanurzyłem drewnianą łyżkę i stała pionowo – tyle makaronu było w mojej zupie.

Zjadłem wszystko w pośpiechu, bo co w żołądku to już moje, i wybiegłem na dwór. Pytam kolegi: - *Jadłeś już obiad?* - *Nie, jeszcze nie.* - *Biegnij szybko do sztuby!* Spotkaliśmy się później i mówi do mnie: - *Jurek, chyba wzięliśmy zły kocioł. To na pewno był obiad dla esesmanów.* Myśleliśmy, że to była tylko pomyłka, ale później jeszcze przez dwie niedziele dostawaliśmy taką zupę. Później znów dostawiliśmy tylko pływający w wodzie kawałek marchewki, buraka, czy jakiegoś innego warzywa – bez soli. A sól była dla nas bardzo ważna.

DOKTOR RASCHER

To był wrzesień '43 roku. Poszedłem z Kazimierzem do łazienki i pierwszy raz drzwi były zamknięte. Przed wejściem stał mężczyzna ubrany w mundur Luftwaffe. Przyjrzał nam się dokładnie i powiedział do Waltera Neffa: - *Niech ten wysoki podejdzie*. Kazimierz też był wysoki. Miał 185 centymetrów wzrostu, więc obaj się zameldowaliśmy. Zapisał nasze numery. Myślałem, że to koniec przygody. Zastanawialiśmy się tylko, co tu robi Luftwaffe.

Kilka dni później, kiedy już zapomnieliśmy o tym dziwnym zajściu w łazience, spotkaliśmy się w szpitalu. Przyszedł pisarz blokowy i mówi do mnie: - *Ty długi, zostajesz dziś na rewirze. Nie idziesz do pracy. - Ale dlaczego? - O nic nie pytaj. Tu masz kartkę i idź z nią do Waltera Neffa*. To był starszy pielęgniarz. Poszedłem do niego. Przebadał mnie i tak już kazał zostać u siebie na bloku. Protestowałem, bo byłem zdrowy i chciałem iść do pracy. Pracowałem w małym komando. Rozładowywaliśmy i załadowywaliśmy do pociągu materiały budowlane, a potem przewoziliśmy je na wózkach do obozu. - *Zamknij pysk!* – tyle miał mi do powiedzenia Walter Neff.

Znów przyszedł ten sam mężczyzna już nie w mundurze Luftwaffe. To był doktor Rascher. Zbadał mi płuca i serce. Coś zapisał na kartce i wyszedł. Trzeciego dnia przyszedł Walter Neff w cywilnym stroju. Na początku był więźniem, a później został asystentem doktora Raschera. - *Rozbieraj się!* - kazał mi założyć nadmuchaną kamizelkę i skórzaną czapkę. Zastanawiałem się, co on chce ze mną zrobić. Zaprowadził mnie do pokoju obok. Był trochę większy, a na środku stał mały basen. Neff w końcu się odezwał: - *Właź!* Pokazał głową na basen. Wszedłem i po chwili zacząłem trząść się z zimna. Neff przyniósł wielkie wiadro pełne lodu i wrzucił do wody. Zaczęła strasznie boleć mnie głowa. Kolejne wiadro lodu. Drętwieją mięśnie. Znów lód. Czuję igły w całym ciele. Kolejne wiadro. Wrzeszczę z bólu. Oni jeszcze głośniejsze i nic więcej nie wiem. Zacząłem zamarzać. Straciłem przytomność. Nie wiem, ile stopni miała woda. Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem, że całe moje ciało jest pokryte czerwonymi plamkami, w środku których była czarna kropka. To wyglądało jak rana po ukąszeniu. Najwięcej takich plam miałem na nogach i klatce piersiowej. Podejrzewam, że mi coś wstrzykiwali. Rascher to wszystko opisywał w swoim notesie. W jego pokoju w szafie za szklanymi drzwiami stała maszyna do pisania. Pewnego dnia chwilę przed apelem przyszedł do mnie więzień, który sprzątał na rewirze, i mówi do mnie: - *Jesteś dzieckiem szczęścia*. Dał mi miskę pełną zupy: - *Jak zjesz, schowaj talerz pod łóżko, nikomu o tym nie mów i czekaj aż tu wrócę. Zrozumiałeś?* Nic nie rozumiałem! Ja „dzieckiem szczęścia”? Następnego dnia z samego rana przyniósł mi śniadanie i tak było jeszcze przez kilka dni.

Porządkowy na rewirze był Jugosłowianinem. Któregoś dnia pyta mnie: - *Ty, dziecko szczęścia, jak mogę ci pomóc? - Czego mogę potrzebować? Chciałby stąd uciec! Nie chcę tu być ani chwili dłużej. - Spróbuję ci pomóc*. Dał mi dwa kawałki chleba posmarowane margaryną (masła nie widziałem na oczy nigdy w żadnym obozie). Po dwóch czy trzech dniach odwiedził mnie Janek Domagała (pisarz obozowy): - *Jak mogę ci pomóc? - Zabierz mnie z rewiru! Niczego bardziej nie pragnę jak po prostu stąd uciec! - Co chciałbyś robić? - Wszystko mi jedno, tylko zabierz mnie stąd!* To był cud. Dostałem zwolnienie, bo doktor Rascher wyjechał służbowo do Berlina. Nic dodać, nic ująć – dziecko szczęścia.

MESSERSCHMITT

Wróciłem na blok 12. Janek Domagała zapytał mnie, czy chciałbym pracować w fabryce. - *Jasne!* – nie zastanawiałem się ani chwili, bo w fabryce przecież jest dach nad głową, nie moknie się na deszczu, jest ciepło. - *U Messerschmitta potrzebują pięćdziesiąt osób do pracy.* Zapisał mnie na listę i pojechałem ostatnim pociągiem z Dachau do pobliskiego Augsburga, a potem do Haunstetten. Trafiłem na komando Messerschmitt 410. Wmontowywałem części radiowe do stalowej płyty, która oddzielała jednego pilota od drugiego. W mojej hali 2A składaliśmy trzydzieści dziewięć samolotów. Robota taśmowa. To było zewnętrzne komando Dachau.

Byłem zadowolony. Dziesięć godzin pracy, a nie dwanaście, a potem powrót na pieszo z Haunstetten do Augsburga. Współpracowałem z Ziutkiem Śniadym (Łodzianinem). Jak szybciej zrobiliśmy swoją robotę, to jeden pilnował, a drugi spał albo w samolocie albo pod samolotem. I tak na zmianę. Trzeba było jednak uważać i być niesamowicie skoncentrowanym podczas każdej czynności. Jeśli popełni się błąd, kara będzie surowa. Kiedy źle się wkręci śrubkę do radioodbiornika, czy do anteny, czeka każdego kara śmierci, bo będzie to potraktowane jako sabotaż. Szesnastu mężczyzn zostało na moich oczach za to powieszonych – Rosjan, Holendrów i Polaków. To było lato '44 roku.

Jak wszedłem pierwszy raz do fabryki Messerschmitta, pomyślałem: „O rany, te nasze łosie i karasie to wszystko jest nic”. Niemcy produkowali odrzutowce turbinowe, bez śmigieł. Coś fenomenalnego. Najpierw się przeraziłem, że już po nas, skoro oni mają taki sprzęt, ale potem się pocieszyłem. Dowiedziałem się, że taki samolot mógł lecieć nie dłużej niż dwadzieścia minut, bo dużo palił

Pierwszy pech, jaki mnie spotkał u Messerschmitta, to bombardowanie. Za placem, na którym stały samoloty, były okopy głębokie na około półtora metra. Jak był alarm, przebiegaliśmy przez plac i wskakiwaliśmy do rowów. Biegło się co sił w nogach i tchu w płucach. Klucze amerykańskich samolotów latały w kształcie litery „V”. Kilkadziesiąt, setki samolotów i sypiące się z nich tysiące bomb. Przeżyłem kilka takich nalotów. Gdybym tylko mógł, wbiłbym się w ziemię jak glizda. Straszny bulgot, bo te bomby nie spadały gdzieś obok, daleko, tylko dokładnie nam na głowy. Pomyślałem sobie: „Boże kochany, przeżyłem Raschera, przeżyłem Auschwitz, Flossenbürg, Dachau, to teraz ci kowboje muszą nas utłuc!”. No i utłukli. Padło około siedmiuset więźniów. U Messerschmitta pracowało ponad dwa tysiące więźniów.

Zostaliśmy podzieleni na małe komanda i porosyłani. Sto osób pojechało do Gablingen, w tym ja. Tam była duża zwirownia. Ale Messerschmitt potrzebował nas do pracy i wróciliśmy z powrotem pociągiem towarowym. Znow alarm przeciwlotniczy, ale to już żadna nowość. Wróciliśmy do fabryki i nic nie zastaliśmy. Wszystko zburzone i spalone. Stały tylko murowane kominy i ostał się drut kolczasty. Więc poszedłem z trzydziestoma innymi więźniami do Kempten. Pracowałem tam około miesiąca. Tym razem jako ślusarz. Mielśmy wtedy nocne zmiany, żeby więcej samolotów wyprodukować. Nie było tam zbyt wielu strażników i pamiętam, że któreś nocy ktoś uciekł. Nie wiem, czy został później złapany.

Po wojnie firma Messerschmitt oświadczyła, że otrzymam za pracę u nich wynagrodzenie w wysokości pięciu tysięcy marek. Sami mnie wycenili i do dziś tych pieniędzy nie widziałem na oczy.

ZNÓW W DACHAU

Podobnie jak inni więźniowie, którzy przeżyli bombardowanie u Messerschmitta, wróciłem do Dachau. Znów przemaszzerowaliśmy do obozu przez całe miasto. Ludzie rzucali w nas ogryzkami z jabłek. Nie spodziewali się pewnie, że będziemy je podnosić z ziemi i zjadać. Po chwili zaczęli rzucać w nas kamieniami.

Nie dostawałem jedzenia, bo nie pracowałem w żadnym komando. Ani kawałeczka chleba. Rano dostawaliśmy tylko „kawę zbożową” albo zupę z samej wody. Jeśli ktoś miał szczęście, bo kto pierwszy ten lepszy. Czasem sztabowy wylewał kawę po prostu na ziemię. Raz dziennie dostawaliśmy coś do jedzenia. I „coś” to jest chyba najlepsze określenie.

Trafiłem na blok 20. Już nigdy nie przechodziłem obok obozowej kancelarii ani obok rewiru. Któregoś dnia dowiedziałem się, że Rascher nie wróci do Dachau. To była najwspanialsza wiadomość, jaką mogłem usłyszeć, ale cały czas nie byłem pewien, czy na koniec nie spotkam gdzieś Waltera Neffa, który sobie zapisze, że nadal żyję. Bałem się, że może mnie wywołać: - 49215, gdzie on jest? Po apelu można było biegać po całym obozie, a ja siedziałem w kacie jak zbity pies. Myłem okna albo podłogę i byłem szczęśliwy, że nie muszę wychodzić z bloku.

Henryk, student architektury z Bydgoszczy, dostał polecenie, żeby zorganizować trzydziestu murarzy. Koledzy mi pomogli i zacząłem w końcu pracować. Budowaliśmy dwupiętrowy dom. Dla kogo? Widziałem go. To była komiczna sytuacja. Od czasu do czasu przechodził koło nas pewien mężczyzna. Miał cztery gwoździe w kołnierzu. Pułkownik Waffen-SS. Dał naszemu kapo łapówkę – nie schnapsa, a półtora kilograma chleba, żebyśmy szybciej pracowali. - *Henryk, co się dzieje? – Ten Niemiec nie gdzie mieszkać. Anglicy zburzyli mu dom. - Ale on – wysoki oficer SS – dał ci chleb dla więźniów, dla wrogów Trzeciej Rzeszy! - Też się nad tym zastanawiam. Boję się, bo wiem, że i ten co dał i ten co wziął, będą ukarani. - A oficer się nie boi? - Nie, zostawił po prostu tą paczkę i powiedział, że to dla nas. - I gdzie poszedł? - Odjechał natychmiast swoim mercedesem. Zjedliśmy szybko chleb.*

Ciężką pracą wybudowaliśmy pięć dwupiętrowych domów. Targaliśmy worki z cementem, biegaliśmy z szuflami, sprzątaaliśmy, kładliśmy dach. Stałem się nikomu nieznanym mistrzem od wszystkiego. I tak od czasu do czasu dostawaliśmy dodatkową porcję chleba. Innym razem wiadro wodnistej marmolady. Nawet kawałek jakiejś kiełbasy. Normalnie bym tego nie tknął, ale wtedy jadłem wszystko, co tylko było czyste. To był początek jesieni '44 roku. Już wiedzieliśmy, że Niemcy przegrali wojnę. Pod koniec września '44 roku Amerykanie zbombardowali okolice Dachau. Zburzyli także domy, które dopiero co zdążyliśmy wybudować.

LUCKY

Leżałem na łące, a bomby spadały tuż obok nas. Potem pomaszzerowaliśmy wszyscy z powrotem do obozu. Pracowałem w królikarni przy administracji obozowej. W Dachau nastał trudny czas. Dostawaliśmy już tylko gotowaną wodę, czasami też sto gram chleba, ale niedopieczonego. To było często jeszcze surowe ciasto. Smakowało jak glina.

Wszędzie miałem wszy – w koszuli, spodniach, w łóżku. Rozgniatałem je mechanicznie na podłodze pod moimi drewnianymi butami. Sytuacja sanitarna była katastrofalna. Nie

mieliśmy możliwości ani zorganizowania mydła ani zmienienia ubrań. Można było pójść do łazienki, ale nie było już wody.

Nastała zima. Pierwszego dnia sprzątałyśmy w mieście śnieg – pięciu więźniów i jeden esesman. Później praktycznie nie było już esesmanów, bo wysłano ich na front. Większość niemieckich kapo też poszła walczyć. Pilnowała nas mała grupa żołnierzy Waffen SS.

Przyszła wiosna. Wróciłem do królikarni. W końcu zaczął się kwiecień. Każdy szukał dla siebie kawałka miejsca. Zbyt wiele osób wróciło z podobozów. W każdym baraku, który przygotowano dla pięćdziesięciu więźniów, spało osiemdziesięciu, czy dziewięćdziesięciu. Na dwóch zsuniętych łózkach spało czterech mężczyzn. Nikt nie wiedział, co się z nami stanie. Od czasu do czasu wybuchały afery przez nieporozumienia między „starszyzną” obozową a więźniami funkcyjnymi, bo nie było co jeść. Pewnego dnia zauważyliśmy, że amerykańskie albo brytyjskie samoloty latają niziutko nad Bawarią. Niektóre mkną może sto metrów nad ziemią. Wartownicy strzelali. Bałem się. Poszedłem na blok. Po takim dniu miałem dość. Było mi już wszystko jedno. Szkoda, że po czterech latach, nie mam już siły. „Nie rób głupstw!” – podpowiadał mi głos rozsądku.

Słyszę poruszenie w obozie. Co się dzieje? Już mnie to nie interesuje. Wszystko mi jedno. Znowu jakiś hałas. Wyszedłem na drogę i widzę ludzi, którzy biegną pędem na plac apelowy. - *Co się dzieje?* – pytam. - *Wolność, idioto!* - *Jaka znowu wolność?* - *Amerykanie tu są.* - *Człowieku, nie chrzań głupot.* Ale zainteresowałem się sytuacją. Podszedłem do bramy „Arbeit macht frei”. Stoi dwóch Amerykanów. Jeden żuł gumę i miał pistolet przyczepiony do paska od spodni. Zawołał mnie: - *Hey you, come on!* Podszedłem i zapytałem po niemiecku, co chce. Pokazał na moją „marynarkę”, na której miałem naszytą literę „P”: - *„What’s that? - I’m Polish. - Yuo are Polish? God damm!* Przytulił mnie. Poprosiłem o papierosa. Dał mi całą paczkę. Coś niesamowitego. Paczka papierosów była w obozie niespotykanym skarbem. Za dwa papierosy można było dostać kawałek chleba. Nigdy nie zapomnę nazwy tych papierosów. To były „Lucky”. Po chwili wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady i zapytał, czy wiem, co to jest. Przytaknąłem. Od razu chciałem ją zjeść, ale była za twarda jak na moje zęby. Taki prezent dostałem 29 kwietnia ’45 roku.

Dachau – trzydzieści tysięcy wolnych ludzi w zawieszonych pasiakach.. Amerykanie wjechali jeepem do obozu. Oszaleliśmy z radości. Okrążyliśmy auto i słabymi rękami w przytłumieniu nieziemskiej energii podnieśli je do góry, krzycząc: „Hurra!”. Amerykanie zaczęły przeklinać. W końcu postawiliśmy ich na ziemi. Stałem jak słup soli. - *Co robimy? Jurek, to niewiarygodne! Jesteśmy wolni!* – podszedł do mnie Kazimierz, uścisnął i ucałował. Naradziłem się z kolegami i ustaliliśmy, że musimy zniknąć z obozu. Amerykanie nam jednak nie pozwolili. Co by mogło się stać, gdyby trzydzieści tysięcy więźniów wkroczyło do pobliskiego miasta? Byliśmy głodni i wściekli na Niemców, chcieliśmy zemsty. Amerykanie prosili, żeby wszyscy zostali w obozie: - *Zaczekajcie, zaraz przywieziemy jedzenie.* Sytuacja była naprawdę niebezpieczna.

Następnego dnia rzeczywiście przyjechała ciężarówka pełna „jedzenia”. Garść proszku, trochę wody, pięć minut gotowania i już jest pół wiadra żarcia. Na własne oczy widziałem Rosjanina, który siedział na schodach, i jadł bez opamiętania. Pytam go: - *Dlaczego tyle żresz?* – *Bo jestem głodny!* - *Ale dlaczego tak dużo?* Potem widziałem, jak spadł ze schodów, zwijając się z bólu. Jego żołądek nie wytrzymał całego wiadra zupy. Ktoś wtedy powiedział: - *Zmarł, trudno, ale przynajmniej się najadł.* Zjadłem dwie miski zupy. Bałem się zjeść więcej. Ale przede wszystkim bałem się wszy, bo przez nie wybuchła epidemia tyfusu.

NIEBO

Postanowiłem z Kazimierzem i Mietkiem uciec z obozu. Obojętnie dokąd, byle jak najdalej, bo atmosfera była niezwykle napięta. Uszliśmy około dziesięciu kilometrów i cały czas się baliśmy. Czego? Że Hitlerjugend może nas zabić. Pierwszej nocy spaliśmy w biurze NSDAP. Kolejnego dnia na komendzie policji. Tam dostaliśmy herbatę i bułkę maślaną z metką. Zapytałem policjanta, czy ta kielbasa jest czysta. Spojrzał na mnie jak na wariata. Po chwili odpowiedział, że to szwabska metka. Po dwóch czy trzech dniach zacząłem drzeć. Dostałem gorączki. Mietek i Kazimierz wzięli mnie pod pachy i wyszli ze mną na ulicę. Byliśmy w jakiejś małej miejscowości na południu Niemiec. Mieliśmy szczęście, bo akurat przejeżdżali Francuzi. Kazimierz ich zatrzymał. Mieliśmy na sobie „pasiaki”. Francuzi pytają: - *Qu'est-ce que c'est?* - *Jesteśmy więźniami z Dachau*. Zabrali nas do najbliższego szpitala, który był w odległości około dwudziestu kilometrów.

W końcu znalazłem się w łóżku i straciłem przytomność. Nie wiem po jakim czasie się obudziłem. Spojrzałem na lewo. Cudowny widok. Jak na jakimś obrazie - łąką tak zieloną, jakby ktoś szczaw wycisnął, a na niej żółte i białe kwiaty. I ten spokój. Obróciłem głowę na prawo. Nachylał się nade mną anioł. Spojrzałem na twarz siostry i znów na łąkę. Pomyślałem sobie: „Tu nie jest tak źle”. Myślałem, że jestem u świętego Piotra. To były pierwsze dni maja '45 roku.

KRZYSZTOF SKRZYPEK

JAK OJCIEC

Nadpobudliwość, bezsenność i problemy ze wzrokiem – to „odziedziczyłem” po ojcu. Moje lewe oko praktycznie nie funkcjonuje. W szklach różnica między prawym a lewym może być maksymalnie trzy dioptrie. Moje prawe szkło ma minus dziewięć dioptrii, a lewe - minus dwanaście. Jednak wadę wzroku mam znacznie większą. Prawe oko - minus dwanaście, a lewe ponad minus dwadzieścia. Lewe oko jest nieskorygowane. Od dziecka nosiłem okulary, a że byłem żywym dzieckiem, ciągle je tłukłem. Dostawałem receptę na okulary, ale te szkła, które mi proponowano, nie nadawały się do mojej wady. Rodzice ciągle musieli kombinować pieniądze na okulary dla Krzysia. Dzięki taty przyjaciółom dostawałem albo pieniądze albo okulary od ludzi dobrej woli z Niemiec.

Do dziś mam problem ze spaniem. W nocy słucham radia, oglądam telewizję albo idę na spacer. Jestem wiecznie wycieńczony. Poranki są dramatyczne. Zauważyłem, że cierpię na bezsenność już w czwartej klasie szkoły podstawowej. Zacząłem się leczyć. Aż się uzależniłem od prochów nasennych. W końcu przestałem brać to świństwo, więc problem się pogłębił. Całą noc leżałem w łóżku i wpatrywałem się w sufit tak długo aż z wycieńczenia

nad ranem zasypiałem. Praktycznie w ogóle nie spałem, bo codziennie o czwartej rano budził mnie ojciec. Choć nie robił tego umyślnie.

Do dwudziestego pierwszego roku życia spałem z nim w jednym pokoju. W nocy spadał z łóżka, bo uciekał przed Gestapo. Krzyczał przez sen. A o czwartej nad ranem wstawał do roboty i wybierał się na komando. Co miałem robić? Też musiałem wstać skoro świt, chociaż do szkoły szedłem na ósmą. Czasem tata wybiegał przed nasz blok i obserwował krople rosy na drucie kolczastym, oczywiście tylko on je widział. Doprowadziłem się do takiego stanu, że już świtało, a ja ani na chwilę nie zmrzyłem oka. Znow wróciłem do prochów. Zacząłem brać coraz mocniejsze środki nasenne. Trwało to wiele lat.

Nie wymachuję rękoma. Potrafię usiedzieć w jednym miejscu. To efekt mojej ciężkiej pracy nad sobą. Ćwiczę Qigong, polegający na zbieraniu energii, chodzę na psychoterapię, medytuję. Jak popracuję uczciwie, są tego efekty. Ale jeśli sobie odpuszczę z lenistwa, noc z głowy.

Miałem spaprane dzieciństwo i okres dojrzewania, czyli połowę mojego życia. Wszystko, co się wydarzyło dwadzieścia lat temu, miało bardzo mocny wpływ na całą moją postawę, mój charakter i to, co się do dzisiaj ze mną dzieje.

DZIECIŃSTWO

Mój ojciec jest bardzo ciepłym człowiekiem, chronił mnie jak tylko potrafił, ale między nami była przepaść. On żył w swoim świecie. Pamiętam pierwsze zaciekawienie jego tatuażem na ręku. Kiedy dziecko widzi coś nowego, zaczyna się tym interesować, a on to bagatelizował i opowiadał mi jakieś głupoty. Raz w życiu byłem w obozie i nigdy więcej tam się nie pojawię. Miałem wtedy sześć lat. Byłem z rodzicami na wycieczce w Stuthofie. Zobaczyłem kominy i pytam taty, co to. Powiedział mi, że to takie duże piece, w których palono... w których palono, żeby ludziom było ciepło.

Moja dociekliwość sprawiła, że z czasem ojciec zaczął mi opowiadać wszystko. Ze szczegółami. W pewnym momencie wpadłem w obłęd. Wszystko co robiłem, tata porównywał do życia w obozie. Będąc małym dzieckiem, bardzo długo się moczyłem. Nie byłem za to bity, ale ojciec zawsze mi powtarzał, że gdyby jemu zdarzyło się coś takiego w obozie, spotkałaby go za to surowa kara. Dwadzieścia pięć batów na goły tyłek. I ja to sobie wyobrażałem. Widziałem wszystko tak dokładnie, jakbym tam był razem z nim.

Już jako kilkuletni chłopiec zrozumiałem, że moja rodzina nie jest normalna. Styl ubierania, zachowania, jedzenia i notoryczny pośpiech. Szybciej jedz, szybciej się ubieraj. Nie można marnować czasu. Dokładnie. Punktualnie. To mnie do dzisiaj męczy. Nie potrafię czegoś zrobić wolno. Muszę to raz dwa skończyć. Ale przede wszystkim miha! Zawsze musiał być w domu chleb. Jak nie było, wybuchała awantura. Nie rozmawiałem z ojcem o Pendereckim, czy Szopenie. Nie ważne, co mi się przytrafiło w szkole. Najważniejsze było, że jestem zdrowy, mam ciepłe spodnie, gacie, czapkę i buty nieprzemoknięte. Patriotyzm, lojalność, partnerstwo, koleżeństwo – najważniejsze cechy człowieka wbijał mi ojciec do głowy. Opowiadał, że kromką chleba podzielił się z kimś, kto spał na pryczy obok niego. Ja też zawsze dzieliłem się wszystkim, co miałem. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, gdy kogoś odwiedziłem, a on mnie niczym nie poczęstował. Kto by do nas nie przyszedł, dostałby michę zupy, czy cokolwiek innego, co było akurat w domu.

Od trzeciego roku życia opiekowała się mną siostra Asunta. U sióstr... (jakie wezwanie? Klasztor na Mokotowie) spędzałem całe dni. Malowałem, bawiłem się, chodziłem z nimi na spacer, jedliśmy wspólnie obiad, a potem siostra Asunta odprowadzała mnie do domu (lub odbierali mnie rodzice). Pamiętam Boże Narodzenie '62 roku. Miałem wtedy cztery lata. Duże pomieszczenie, dużo ludzi w czarnych sutannach, dużo cukierków, dużo uśmiechów, specyficzny zapach kadzidła i sam moment siedzenia na kolanach u kardynała Stefana Wyszyńskiego. Była w tym jakaś magia.

Zanim trafiłem do sióstr, chodziłem do przedszkola. Jedna scena bardzo mocno utkwiała mi w pamięci. Stałem nago z innymi dzieciakami pod prysznicem. Pamiętam, że było mi zimno. Przyjechał mój ojciec i dostał szału, jak mnie zobaczył. Zrobił awanturę. Zawinął mnie w swój płaszcz i zabrał do domu. Tata w Auschwitz dostał dwa lata karnej kompani za pomoc dziecku, a dokładniej kobiecie, która je właśnie urodziła. Ojciec kocha dzieci. Pamiętam, jak je zaczepiał na ulicy i dawał cukierki, czy pieniądze. Kiedyś zobaczył biednego chłopca, ale akurat nic nie miał przy sobie. Wyjął z garnituru swoją białą, wyprasowaną chustkę do nosa i dał dzieciakowi. Taki człowiek...

Często chodziliśmy do klubu oświęcimskiego. Byliśmy wielką rodziną. Dostawałem ciągle a to ciasteczko od ciotek, a to chlebek z miodzikiem, a to czekoladkę od wujcia, bo Krzysio jest przecież głodny. A Krzysio wyglądał jak pączek. To byli tacy ludzie. „Byli”, bo większość z nich już nie żyje, a ja ich takich pamiętam. Nic nie było ważne poza jedzeniem i wolną Polską.

Ojciec niesamowicie dba o swój wygląd. To w końcu człowiek sprzed wojny, dżentelmen. Do dzisiaj czyści buty tak, że mucha nie siada. Pamiętam, jak kiedyś pokłócił się z matką i w zemście wyczyścił jej po jednym bucie z każdej pary. Biedna, cały dzień szorować buty, że prawy nie różnił się od lewego.

Rodzice mieszkają razem, ale nie mają najlepszego kontaktu. Zawsze był rozdźwięk między nimi. Matka nigdy nie chciała słuchać opowieści ojca. Sama przeżyła obóz pracy. Straciła całą rodzinę przed i podczas wojny. A kiedy ten koszmar się skończył, chciała jak najszybciej o nim zapomnieć. Gdyby się wzajemnie nakręcali, to mogłaby być tragedia. Jedno i drugie pogubiło się w życiu przez wojnę, ich drogi kiedyś się zeszyły i tak zostało. Wzajemnie się sobą opiekują. Nie twierdzę, że są wzorowym małżeństwem, czy że kiedykolwiek się kochali, ale na pewno ojciec matki by nigdy nie skrzywdził. Wręcz przeciwnie. Gdyby było jej zimno, na pewno by ją przykrył. Nie raz się nią opiekował, kiedy była chora. I odwrotnie.

Dla ojca trzeba innej cierpliwości, innej wiedzy, innego poziomu, innego ciepła i bez gwarancji, że akurat tego w danym momencie oczekiwał. To człowiek ze złamaną psychiką. Zrobili to Niemcy – najpierw Gestapo na Pawiaku, a później w obozie esesmani i kapowie. Idąc dalej, zasadne jest pytanie, czy ludzi zniszczeni w obozie powinni mieć dzieci? Zasadne w tym momencie jest kolejne pytanie, czy warto było rozpoczynać wojnę? Gdyby nie druga wojna światowa, wszystko wyglądałoby inaczej.

DACHAUOWSKI PAS

W szkole podstawowej ciągle tłukłem się z dzieciakami. Nie byłem akceptowany. Dzieci są bardzo radykalne. Nosilem okulary i to już był pretekst, żeby mnie wyzywać i śmiać się ze mnie. Waliłem za to na oślep. Cokolwiek miałem w ręku waliłem, biłem, tłukłem, ale w życiu nie uderzyłem nikogo ot tak, bo miałem ochotę. Nie ma we mnie takich odruchów. Mimo że

nie raz się bardzo denerwuję. Wewnątrz mnie jest wielka agresja, ale to jest taka agresja energetyczna. Wkurzę się i w głowie sobie wyobrażam, co bym komuś najchętniej zrobił – zagryzł, ręce powyrywał, ale to jest wszystko. Nie mam takiego odruchu, żeby łapać za pałę, tłuc i krzywdzić.

Ojciec też mnie nie bił. Raz tylko mnie stłukł, bo ukradłem w sklepie kawę. Miałem wtedy chyba dziesięć lat. Wysłał mnie po kawę, a ja chciałem na tym zarobić. Najwidoczniej nie chciał mi dać na coś pieniędzy i tak w tym głupim chłopięcym mózdzku wykombinowałem, że jak mu przyniosę kawę, którą ukradnę, to on będzie miał kawę, a ja pieniądze. Proste. I mnie złapali. Musiałem sam się położyć w takiej pozie, jak się więźniowie kładli na kozie, bo w obozie też każdy sam musiał się położyć do bicia, i ojciec sprzął mnie swoim dachauowskim pasem. Więcej się darłem niż mnie to bolało, a tata po tym był chory przez kilka dni.

Nauka szła mi ciężko. Ojciec miał wielu przyjaciół i poprosił naszą sąsiadkę, żeby nade mną popracowała. Bardzo mi pomagała. Dzięki niej nie zdarzyła mi się nigdy żadna poważniejsza wpadka. Choć nie ukrywam, że miałem problem z koncentracją. Zawsze żyłem w swoim świecie. Horrorem były dla mnie klasówki. Trzy, cztery dni po sprawdzianie mogłem odpowiadać z dowolnego materiału, ale jak miałem napisać klasówkę, od razu pojawiał się u mnie problem z koncentracją, z odgrzebaniem myśli. Ja to wszystko umiałem tylko mój mózg w trochę inny sposób przetwarzać wiedzę. Raz była próba odesłania mnie do szkoły specjalnej: „Ma słaby wzrok, jest nadpobudliwy, co będzie się tutaj ze zdrowym organem młodzieży socjalistycznej zadawał. Będzie tylko statystyki psuł”. Ale nikt w mojej rodzinie się na to nie zgodził, a zwłaszcza ja. Nie czułem się nienormalny, inny, żeby chodzić do szkoły specjalnej. Może tam byłoby mi łatwiej, ale sobie tego nie wyobrażałem.

Cały czas byłem pod czyjąś kontrolą. Jeden z moich nauczycieli był kolegą ojca z obozu. Poznali się po numerach na ręku. Jak narozrabiałem w szkole, zanim doszedłem do domu, rodzice już wszystko wiedzieli. Ciągłe się martwili, że źle widzę i coś mi się stanie, że jestem nadpobudliwy i kogoś pobiję, przez co będą mieć poważne problemy.

Kiedyś zrobiłem do szkoły referat na temat obozu koncentracyjnego Dachau i doświadczeń prowadzonych na ludziach. Kilka moich koleżanek wyszło z klasy, kiedy zacząłem pokazywać zdjęcia. Sam na sobie zrobiłem wtedy wrażenie. Przeczytałem bardzo dużo książek o obozach koncentracyjnych. Wtedy historia ta stała się moją pasją, ale słuchając codziennie w domu o Auschwitz, Flossenbürgu i Dachau, pasja dość szybko przerodziła się w zniechęcenie.

Któregoś dnia ojciec wdał się ze mną w dyskusję o piątej rano. Wstałem i powiedziałem, że dłużej nie wytrzymam. Nie mogę. Już nie chcę. Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat. Bardzo szybko się ożeniłem. Wprowadziłem się z żoną do teściów, ale to była niestety pomyłka. Dłużej się rozwodziłem niż trwało moje małżeństwo. Mieszkałem tam przez pięćdziesiąt dni. Wyprowadziłem się od Elki w lutym. Miałem bardzo zły okres w życiu i oczywiście wróciłem do ojca.

Od dziecka uciekałem w rysowanie. W kreskach i cieniach tkwił mój świat. Na początku fascynowały mnie linijki i ekierki, a potem coraz bardziej oddawałem się wyobraźni. W trzeciej klasie szkoły podstawowej miałem swoją wystawę. Skończyłem liceum plastyczne, a następnie Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Przy moim charakterze, temperamencie, przy problemie z koncentracją i nadpobudliwością, innych studiów bym nie skończył. Akademia dała mi szansę - swoim klimatem i ludzkim obliczem. Całe pięć lat wykładowcy

szli mi na rękę. Niektóre przedmioty zaliczałem indywidualnie. Kłopot miałem np. z historią sztuki. Ale ostatecznie studia skończyłem z wyróżnieniem dziekana oraz nagrodą ministra kultury i sztuki. Byłem na stażu we Wiedniu.

Rodzice zawsze byli zadowoleni, kiedy praca nie wymagała ode mnie wysiłku fizycznego. Bali się, że coś mi się w oku odklei i oślepnę na dobre. Ostatnio, gdy zmieniałem okulary, padło pytanie, ile mam lat. Już nic nie powinno mi się stać, ale nigdy gwarancji nie ma. Jak ktoś się urodził z „krzywą ręką”, to zawsze znajdzie sobie sposób na trzymanie widelca, czy picie kawy. Ja też swoją drogę znalazłem. Może się to wydać zabawne, ale z taką wadą wzroku jestem grafikiem, choć takiego plakatu, jakiego uczono mnie w PRL-u, już nie ma. Więc robię bardzo różne rzeczy. Często przygotowuję tylko szkic i zlecam go do wykreślenia, bo ślęczenie przed komputerem nie jest dla mnie. Rynek jest ciężki, ale jakoś daję sobie radę, choć nie ukrywam, że nie jest to łatwy kawałek chleba. Po ojcu odziedziczyłem chęć życia i niezwykle siłę na ciągłą walkę z przeciwnościami.

SKOJARZENIA

Zawsze byłem konfliktowy i nadpobudliwy. Z tego powodu miałem bardzo dużo kłopotów. Rozpadło mi się kilka związków. Jestem po rozwodzie. Z drugą żoną też mam problemy. Dlaczego? Może odpowiedź na to pytanie jest banalna, a może ze strachu nie umiem na nie odpowiedzieć. Pewnie powód tkwi we mnie. Ile lat można być tym nadpobudliwym, nieujarzmionym, skonfliktowanym człowiekiem? Pracuję nad sobą. To nie jest tak, że tylko mówię i nic w tym kierunku nie robię, ale nie jest łatwo się zmienić. Jeśli ktoś mi mówi, że coś jest żółte, a ja widzę, że jest fioletowe, to przecież wiem, co widzę. Ale kiedy druga, trzecia, czwarta osoba mówi mi, że coś jest żółte, a ja cały czas widzę, że fioletowe, to przychodzi chwila refleksji, czy na pewno mam rację. Ta chwila po latach właśnie u mnie nastąpiła. Zawsze mi się wydawało, że mam rację, a teraz już nie jestem tego pewien.

Pięćdziesiąty rok życia był dla mnie tak odległy, że w swojej naiwności myślałem, że nigdy nie nastąpi. Mój światopogląd bardzo się zmienił przez ostatnie lata. Niektóre rzeczy, które mnie kiedyś irytowały, teraz są mi obojętne. Dostawałem szału, gdy coś się zepsuło albo że nie mogę czegoś kupić. A teraz - jak czegoś nie ma to trudno. Mam się całe życie denerwować, że czajnik się spalił? To się spalił. Mam garnek i tyle. A kiedyś by mnie szlak trafił. Przy całym chaosie panującym we mnie do tego jestem upierdliwy. Aż do bólu. Jak coś zacząłem, muszę szybko skończyć. Tak mnie wychowano.

Niesamowite, że praktycznie nigdy nie byłem w obozie, a jednak doświadczenia ojca przewijają się przez całe moje życie. Jak ojciec mówił o pajdzie chleba, to do dzisiaj sobie tę pajdę wyobrażam. Za każdym razem inaczej, bo to nie była taka zwykła pajda. Ten chleb był inny. Jak jem marmoladę, to myślę, czy to właśnie taka marmolada była, jak opowiadał ojciec - ta z brukwi?

Boże Narodzenie w naszym domu zawsze było ponure. Ojciec nienawidzi świeczek, bo w święta siedział przy świeczce z kolegami na bloku. Nostalgia za wolnością i rodziną kojarzy mu się ze świeczką. Jego opowieść o obozach jest ciekawa, jak się jej wysłucha raz, ale jak się tego słucha codziennie, przez całe życie, od dziecka, można zwariować.

Pasiaki kojarzą mi się jednoznacznie. Jak kogoś widzę w pasiakach w telewizji, czy na ulicy (mam na myśli konkretną kolorystykę i proporcję pasków do siebie), od razu widzę obóz koncentracyjny, co pociąga za sobą kolejne skojarzenia. Drut kolczasty, śmierć, kapo, bicie,

głód... Nigdy w życiu nie kupiłem sobie koszuli w paski. Nie znoszę, gdy moja żona ubiera cokolwiek w paski. Wie o tym i na szczęście tego już nie robi.

Biały fartuch też mi się bardzo źle kojarzy, bo w opowieściach ojca doktor Rascher go nosił. Przeżywałem dramat, gdy w liceum plastycznym kazano mi chodzić na zajęcia w białym fartuchu. Walczyłem z tym, jak tylko mogłem. Nie nosiłem – nosiłem. Różnie.

Kilka razy w życiu trafiłem do szpitala, gdzie specyficzny zapach zawsze rozbudzał moją wyobraźnię. Ojciec opowiadał mi o strasznym smrodzie, który docierał do niego z Birkenau. Zapach palonego ludzkiego ciała. Nigdy nie potrafiłem go sobie do końca wyobrazić. Dlatego w szpitalu zawsze męczyły mnie myśli, czy to ten sam smród?

Nigdy nie akceptowałem kawałów o obozach koncentracyjnych. Chamstwo na poziomie – ilu Żydów zmieści się w popielnicze, nigdy mnie nie bawiło. A wręcz przeciwnie. Dowcipy tego rodzaju zawsze budziły we mnie agresję.

Próbuję z ojcem rozmawiać o polityce, sztuce, czy moim życiu. Po piętnastu, dwudziestu minutach nawet nie wiem kiedy budzimy się w Dachau, albo jesteśmy w drodze do Flossenbürga, albo właśnie nas wyzwalają, albo aresztują. Moja żona Bożena złości się na nas, co już jesteście w Auschwitz? Gdy żyli ojca koledzy, może był nieco mniej ekspansywny w stosunku do mnie. Jak były jego imieniny, czy rocznica wyzwolenia Dachau (powodów do spotkań było zawsze mnóstwo), wtedy innego tematu niż „obóz” nie było:

- Pamiętaj 13 maja '43 r.?
- Co ty chrzaniś, to było w '44.
- Genek, nie gadaj głupstw. To było w '43, bo wtedy było to, to i to.
- No tak. Ale nie, bo przecież...

I tak potrafili debatować do białego rana.

Wuja Genia – przyjaciel ojca zawsze dążył do tego, żeby wszystko, co było w zasięgu stu kilometrów do kupienia, stało u niego na stole. Kawalek kotlecika, trochę marcheweczki, kilka plasterków cytrynki, resztki jakieś szwedzkiej pasty kawiorowej, kawałek żółtego serka, trochę białego, plasterczek szyneczki, gotowana kapustka. – *Broń Boże brukiew albo marmoladka. O nie, nie. Myśmy się już tego w życiu najedli* – mówił wuja.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Moje życie podzieliłbym na pięć etapów. Pierwszy – brak świadomości. Drugi – zainteresowanie tematyką obozową. Trzeci – fascynacja. Czwarty – zniechęcenie. Piąty – świadomość, że ktoś musi ponieść odpowiedzialność za ludzką krzywdę. Wszystkie rozdziały są już zamknięte. Poza ostatnim.

Każdy dzieciak chwalił się swoim ojcem. Jednego był kierowcą autobusu, drugiego – muzykiem, a ja mogłem pochwalić się tylko tym, że mój ojciec był w obozie. Więc zacząłem wertować wszystko, co było do przeczytania na ten temat. Z czasem odczułem przesytność. Chciałem o wszystkim zapomnieć. Jedni chcieli przeżyć wojnę, inni obóz, a ja całe życie chciałem być normalny. Nie chciałem się alienować od społeczeństwa. Nie chciałem być tym, który z jakiegokolwiek powodu jest inny, gorszy, naznaczony. Nigdy nie zabiegałem o przywileje. Jestem takim człowiekiem, który chciał wiele rzeczy zrobić samodzielnie. Zawsze uważałem, że sobie dam radę. Oczywiście miałem chwile zwątpienia, lata gorsze i lepsze, ale nigdy nie robiłem z tego tragedii.

Z perspektywy czasu jednego jestem pewien. Moje życie wyglądałoby inaczej, gdybym nie miał uszkodzonego układu nerwowego i wzroku – jak większość poobozowych dzieci, czyli tak zwanej drugiej generacji. Gdybym nie miał trudnego dzieciństwa u boku człowieka ze złamaną psychiką, wszystko potoczyłoby się inaczej. Jestem tego pewien, bo jest we mnie dużo kreatywności. Rzeźby, obrazy, szkice, scenografie, targi, najróżniejsze projekty – czego ja w życiu nie robiłem? Dla mojej żony, która jest instruktorem jeździectwa, nauczyłem się nawet jeździć konno. Ale niestety kiedyś miałem wypadek. Spadłem z konia. Co dla okularnika jest najbardziej niebezpieczne w takiej sytuacji? Nie to, że upadł, jeśli nic poważnego mu się nie stało. Najgorsze jest to, jak upadnie i okulary polecą w jedną stronę, a on w drugą. Wtedy jest się po prostu jak dziecko pozostawione samotnie w ciemności. Gdzie koń, gdzie samochód, gdzie okulary, gdzie ja jestem? To jest najgorsze. Nie sposób zliczyć, ile razy się na siebie wściekałem, bo zmęczony położyłem wieczorem gdzieś okulary i poszedłem spać, a rano po omacku poruszałem się po mieszkaniu i obmacywałem szafki, podłogę, ubrania... A nuż gdzieś je wyczuję.

Jeżeli ktoś kogoś skrzywdził, to konsekwencję powinien ponieść do końca. Niemcy mogli przyjechać do Polski w '39 roku na wycieczkę turystyczną. Zamiast autobusu, czy pociągu, wybrali jednak czołgi. Oczekuję tylko jednego. Żeby ci, co narozrabiali, mieli tego świadomość i zamknęli historię na poziomie człowieczym.

JERZY KOWALEWSKI

TRZY MIESIACE

„Arbeit macht frei” – coraz wyraźniej widzę ten napis na bramie. Blisko pięciuset więźniów z mojego transportu zbliża się do obozu zagłady. Pilnują nas esesmani. Psy ujadają. Krok za krokiem, metr za metrem mija. Przy wejściu wita nas SS-Sturmbannführer Rudolf Höss: - *Znacie niemiecki? Musicie znać, żeby zrozumieć, co znaczy Arbeit macht frei. Tylko praca uczyni was wolnymi. Już niedługo. Za trzy miesiące. Na pewno nie dłużej. A potem do krematorium.*

Wykąpano nas, tzn. polano zimną wodą. Dostaliśmy wygniecione „pasiaki”. Obozowe ubranie składało się z koszuli, spodni, podkoszulki, kalesonów i czapki, a także drewnianych butów, tzw. holenderek. Strasznie niewygodne. Co potem? Straciliśmy swoją tożsamość. Przestałem być Jerzym Kowalewskim, a stałem się numerem 31119. Musiałem go przyszyć do kurtki na wysokości serca i na prawej nogawce „pasiaków”. Miałem szczęście, że nie wytatuowali mi numeru na ręce. Tatuże w Auschwitz były od grudnia ’42 roku. Mnie wtedy już tam nie było.

Pierwszy numer od jedynki do trzydziści mieli Niemcy: kapowie, funkcjonariusze administracji itp. Bruno Brodniewicz był więźniem numer 1. To Niemiec o polskim nazwisku, który został starszym obozu. Numer 31 dostał pierwszy Polak. Jak tylko ubrało się swoje „pasiaki”, Niemcy robili zdjęcia wszystkim więźniom – am fast, z lewej strony i z prawej. Oprócz numeru dostaliśmy też winkiel w kształcie trójkąta. Ja miałem czerwony. Po jego kolorze rozpoznawało się rodzaj więźnia. Czerwony winkiel mieli więźniowie polityczni, zielony - kryminaliści, czarny – ASO (ci, którzy uchylali się od pracy), różowy – homoseksualiści, niebieski – emigranci, fioletowy – badacze Pisma Św. Żydzi mieli czerwony trójkąt z żółtą gwiazdą Dawida. Niemcy nie mieli na winklu żadnej litery. Litera pierwsza – Polska to jest P, Francja - F, Rosja - R, Włochy - I itd. „Kogutki” to ci, którzy pracowali w fabrykach, czy u rolnika i przyszli do obozu za karę na jakiś czas, np. pół roku. Mieli biały strój. Nie mieli winkla, mieli inną numerację niż obozowa.

Kwarantanna! – usłyszeliśmy od esesmana. - *To jest wasz czas, żeby nauczyć się tu żyć. Nie będzie trwać długo.* Musieliśmy w mig pojąć regulamin obozowy i nauczyć się języka niemieckiego. Musiałem znać po niemiecku mój numer, wiedzieć, jak powitać jednego czy drugiego esesmana. Kiedy przechodził koło mnie, musiałem zdjąć czapkę, stanąć w odległości pięciu metrów od niego i oczy zwrócić w jego stronę. Jeśli przeszedł, mogłem iść dalej. Gdy mnie jednak zawołał, musiałem do niego podbiec i się zameldować: „Schutz (zatrzymany) Heftling (więzień) Pole (Polak) Numer 31119, melde zur Stelle (melduje się na miejscu)”. Wydawał rozkazy, ale najczęściej dawał w papę. Musiałem wiedzieć, jak mam śpiewać, jak pracować, kiedy czapkę zdejmować.

Musiałem nauczyć się obozowej gwary. Co to jest organizacja, mużulmanin, chochla, deka, scheisse, durchfall, tyfus, nachschlag (dodatkowa porcja jedzenia). Jeśli w kotle została zupa, niektórzy, ci „lepsi” mogli dostać nachschlag. Jak się więzień zbuntował, to zamiast nachschlag, dostawał metalową łyżką w twarz.

Śniadanie dostawaliśmy na bloku, do pracy przywożono nam „obiady”, a wieczorem znów na bloku czasem mogliśmy napić się kawy czy herbaty. Czasami dostawaliśmy marmoladę z marchwi lub brukwi. Na dachu kuchni obozowej były napisane frazy po niemiecku, jak mamy

się zachowywać. Trzeba było się ich nauczyć na pamięć. Pamiętam np.: „Ehrlichkeit (uczciwość), Fleißigkeit (pracowitość), Sauberkeit (czystość), alles für Liebe die Vaterland (wszystko dla kochanej ojczyzny)“. Jak się tego nie umiało, to się dostawało w najlepszym wypadku w pysk, najczęściej zabijali.

O, WOJNA...

Miałem 17 lat, gdy wybuchła wojna. W '39 roku zdałem maturę w Szwajcarii i pod koniec lipca przyjechałem do Polski na wakacje. Mama zabrała mnie do Orłowa. Wróciliśmy do Warszawy i... wojna. Zmobilizowano ojca i mamę. Zostałem w domu sam ze służącą. Nie wiedziałem, co robić.

Spotkałem kolegów z Gimnazjum im. Władysława Girzyckiego. Stwierdziliśmy, że nie będziemy kopać rowów przeciwczołgowych, kiedy ojczyzna w potrzebie. Pojechaliśmy do Brześcia. Spotkaliśmy majora Niepokulczyckiego (znajomego moich rodziców) i się zameldowaliśmy, że chcemy walczyć. Ten nas odesłał do generała Franciszka Kleberga.

I znów w podróż. Jechaliśmy pociągiem i autostopem, łącznie z końmi, i na piechotę szliśmy. Z Brześcia nad Bugiem do Kobrynia, z Kobrynia do Drohiczyzna Poleskiego, z Drohiczyzna Poleskiego do Janowa, z Janowa do Pińska, z Pińska do Łunińca. 17 września dotarliśmy do granicy. Kleberg jak nas zobaczył, powiedział: - *Dzieciaki, wam nie do oflagu, ani do stalagu tylko do domu idźcie!* A my swoje: - *Chcemy walczyć!*

Rosjanie zaczęli właśnie zajmować tereny wschodnie, więc się wycofujemy przez Pinę, Muchawiec, Kanał Królewski, Serokomle, Adamowice, Wolę Gułowską, na Włodawę. Walczyłem w 50 Dywizji Piechoty pod Wolą Gułowską. Tam - starcie z Niemcami. Na pierwszym postoju dowódca zwolnił nas, młodych i kazali iść do domu. Wróciłem z kolegami do Brześcia, gdzie wpadliśmy w szpony NKWD. Pod koniec października zamknęli nas w twierdzy brzeskiej. 11 listopada zapadła decyzja, żeby przewieźć nas na stację kolejową Brześć i przetransportować w głąb Rosji. Na stacji w Brześciu nad Bugiem udało nam się uciec. Wskoczyliśmy do pierwszego lepszego pociągu. Budzimy się. Biały stok. I tak przez zieloną granicę, czyli Zaremby Kościene, dotarliśmy z powrotem do Warszawy.

Wbiegam do domu. Szyby powybijane. Nikogo nie ma. Została tylko służąca, która mi podpowiedziała, że u nas nadal mieszka pan pułkownik Mieczysław Dobrzański (przyjacieli rodziców). Zdziwiłem się, że nie jest na froncie i od razu poszedłem go zapytać dlaczego: - *Dostałem rozkaz, aby zostać w Warszawie. Działam w ruchu oporu. Chcesz mi pomóc? – Oczywiście!* – ani chwili się nie zastanawiałem nad odpowiedzią.

3 grudnia podpułkownik Dobrzański zabrał mnie do generała Karcz-Tokarzewskiego. Złożyłem przysięgę w jednym domów przy ul. Kruczej. Dostałem kryptonim ZOM, czyli Zakład Oczyszczania Miasta. Z czego? Z tych, którzy współpracowali z Niemcami.

Leszek Dobrzański, Tadek Piórczyński, Jan Kowalewicz-Kowalewski, Kazimierz Piątkowski, Mieczysław Piniński, Ksawery Lissowski i wielu innych – wszyscy pracowaliśmy na Żurawiej 24A, oficjalnie w firmie Akta. Wchodziło się przez bramę. Po prawej stronie na parterze było biuro, a po lewej urzędował pułkownik Dobrzański. To była siedziba naszej konspiracji. Punkt kontaktowy – pasztecarnia pani Marii Chęcińskiej przy ul. Mokotowskiej naprzeciwko Alei Róż.

Codziennie składaliśmy raporty. Mówiliśmy, że byliśmy w takim a takim miejscu, co widzieliśmy i że wydaje nam się, że ten, czy ta współpracują z Niemcami. Nie ważne czy z GESTAPO, z SD, czy z Wehrmachtem. Któregoś dnia dostaliśmy rozkaz, aby sprawdzić pewnego lekarza, który mieszkał przy ul. Wilanowskiej. Od samego rana obserwowaliśmy jego mieszkanie. Jest samochód, więc pewnie siedzi w domu. Jak wychodził, to szliśmy za nim jak cień. Oczywiście robiliśmy tzw. „sztafetę”, a nie wszyscy na raz. Sprawdzaliśmy, z kim się spotyka, z kim rozmawia itd. Tak wykrywaliśmy zdrajców.

Mieszkałem naprzeciwko Gimnazjum Batorego, gdzie swoją siedzibę miały „Parasol” i „Zośka”. Współpracowałem z nimi. Dostarczałem korespondencję, biuletyny, przeważnie Biuletyn Informacyjny.

Mama wróciła do Warszawy już w grudniu '39 roku, a ojciec został na froncie. Dostał rozkaz z Ministerstwa Spraw Wojskowych, aby przewieźć tajne dokumenty do Francji. Dotarł do Paryża, przekazał dokumenty naszym oficerom sztabowym i został przydzielony do obozu Cotquidone. Był szefem zaopatrzenia drugiej Brygady Czołgów w II Korpusie u gen. Andersa. Mama służyła w żeńskim Oddziale Związku Strzeleckiego na froncie wschodnim (Lwów, Stanisławów). Przez Samborg, przez zieloną granicę wróciła do Warszawy, do Generalnej Guberni.

Jest 21 kwietnia '41 roku. Wróciłem do domu przed 21, chwilę przed godziną policyjną. Wita mnie roztrzęsiona mama: - *Jurek, twój kolega był przed chwilą. Mówił, żebyś nie nocował dzisiaj w domu. - Dlaczego? - Prawdopodobnie będą aresztowania. – Nigdzie się nie wybieram.* O trzeciej w nocy budzi mnie mama: - *Słyszysz GESTAPO! Na pewno idą mnie aresztować. – A skąd mama wie, że nie idą po mamę? – Aresztują mnie za działalność w konspiracji. – Też działałem w konspiracji. – Tyś zwariował!*

Wszystko, co mieliśmy wartościowego, schowaliśmy do kominka. Nagle łomotanie do drzwi. Pytam: - *Kto tam? – Dozorca.* Uchyliłem drzwi. Ułamek sekundy i już na środku pokoju gościnnego stoi pięciu esesmanów. Zaczęli plondrować pokoje. Tak przez dwie godziny. Nic nie znaleźli. Darli mordę nie z tego świata. Mama była przygotowana, że ją zabiorą. Jeden z esesmanów wyjmuje kartkę. Czyta. Nic nie mówi. Po chwili pyta: - *Kto to jest Jerzy Kowalewski? – Ja. - Ubierać się!*

Mieszkał na trzecim piętrze na Rozbrat. Schodzimy po schodach. Na podwórzu czeka na nas łazik i dwóch esesmanów z karabinami maszynowymi. Jedziemy. Przez kraty widzę, że skręcają w prawo do Książęcej. Już Plac Trzech Krzyży. Jak pojedą w lewo, to trafię na Szucha, jak w prawo - to na Pawiak. Skręcili w prawo.

Pawiak. Otworzyli drzwi: - *Raus!* Esesmański but powędrował prosto w mój brzuch. Wylądowałem twarzą na bramie. Zaczęli coś krzyżeć i lać mnie pałami. Nieprzytomnego zaprowadzili do administracji. Spisali moje dane.

Prowadzą mnie gdzieś po schodach. Otwierają drzwi. Oddział siódmy w podziemiach. Wchodzę i widzę oficerów, z którymi współpracowałem. Nie miałem już żadnych wątpliwości, czemu mnie aresztowali. Całą noc ustalaliśmy wspólną wersję zeznań. Rano po goleniu wpakowali nas wszystkich razem na oddział piąty. To, że mogliśmy ustalić zeznania, zawdzięczamy „organizacji pawiakowskiej”, czyli ludziom, którzy działali w konspiracji.

Kazano nam chodzić na tak zwany „spacer”. Musieliśmy czołgać się po gorącym żużlu. Ubrania popalone. Na klatce piersiowej same rany. Jeśli ktoś nie mógł tego wytrzymać, dostał pejczem raz, czy drugi i już tylko potulnie leżał twarzą do ziemi.

24 kwietnia '41 roku. Z samego rana esesmani pakują mnie i kilkunastu innych więźniów do budy i wiozą nas na Szucha. Samochód staje na podwórzu. Wyrzucają nas i pakują do podziemi w siedzibie GESTAPO. Siedzimy w tak zwanym „tramwaju”. To była taka poczekalnia, która rozmieszczeniem miejsc, przypominała tramwaj. Czekam na przesłuchanie. Przede mną weszła młoda dziewczyna. Z sali dobiega jeden wielki wrzask. Wynieśli ją zmasakrowaną. Esesman wyczytuje moje nazwisko. Odpowiadam: - Ich bin hier. Prowadzi mnie na pierwsze piętro do pokoju 111. Wszedłem. Po środku od siedzą - esesman, oficer, po prawej tłumacz w cywilnym ubraniu. Zapytano mnie o nazwisko i tyle. Dostałem pałką raz, drugi. Usłyszałem: to dopiero początek. Trzeciego uderzenia już nie pamiętam. Wynieśli mnie w kocu. Obudziłem się w szpitalu. Wybili mi wszystkie zęby.

Kolejne przesłuchanie. Pierwsze piętro, pokój 111. Wchodzę. Siedzi oficer, obok dolmecher, czyli tłumacz. Znałem niemiecki, ale się nie przyznałem. Na przywitanie oficer wyjmuje pistolet, pejcz i kastety na rękę. Układa to na biurku. Słyszę komendę: siadaj! Usiadłem i zaczynają się pytania: czy znam tego, czy znam tamtego, czy działałem w konspiracji? Udaję idiotę. Tak trzeba, bo jak bym się przyznał, to by mnie od razu zabili. A jak bym kogoś wsypał, to i jego, i mnie by zabili. Musiałem być silny, kłamać i jeszcze raz kłamać. Ciągłe mnie pytali o pułkownika Dobrzańskiego, który był szefem wywiadu i kontrwywiadu ZWZ AK. To była wielka szucha. Esesman pyta: - Jakie raporty mu dostarczaliście? – *Nie wiem, o co chodzi. Nie znam żadnego pana Dobrzańskiego. Pracuję w biurze jako goniec. Nie znam zbyt dużo ludzi ode mnie z pracy. – Ty polska świnió! Zaraz cię nauczę, kto to Dobrzański.*

Ze szpitala zabierali mnie na przesłuchanie i z powrotem do szpitala na Pawiaku. Tak w kółko. Czternaście razy. Męczyli mnie od 8 rano do 16. Na Pawiaku zajmowali się mną doktor Zygmunt Śliwicki i Felicjan Loth, też więźniowie. To był maj. Ciągłe traciłem przytomność. Nie mogłem nic pić, nic jeść.

W maju, kiedy byłem jeszcze w szpitalu, doktor Śliwicki skontaktował mnie z kapitanem Piątkowskim, który działał ze mną w konspiracji. Opowiedział mi, jak został aresztowany. Na Placu Teatralnym spotkał się z panem Jerzym Uchmańskim. Po rozmowie podeszło do niego Gestapo w cywilu. Tak trafił na Pawiak. Po wysłuchaniu jego historii postanowiłem wysłać gryps do naszej organizacji, żeby sprawdzono, kim jest pan Uchmański. Dowiedziałem się po wojnie, że pracował w Gestapo i w naszej organizacji. Dowództwo ZWZ AK wydało na niego wyrok śmierci. Rozkaz wykonania wyroku otrzymał „Szary”. To był koniec '41 roku. Uchmański mieszkał na Rozbrat 6 mieszkania 12. Pojawił się późnym popołudniem. „Szary” nie wytrzymał i zamiast w klatce schodowej, zastrzelił go w bramie. Rozległ się straszny huk. Zaczął uciekać przez Rozbrat w stronę ulicy Fabrycznej, gdzie mieścił się komsariat granatowej policji. Przekupki zaczęły krzyczeć bandyta. Zabili go żołnierze Luft Waffe, którzy akurat przechadzali się wzdłuż ulicy Fabrycznej.

Na izbie chorych leżeli koło mnie: prof. Stefan Esmanowski, prof. Jędrzej Czerniak, gen. Szpakowski i mój przyjaciel ze szkoły Stanisław Marchal. Jezu, jaki on był połamany. Któregoś dnia adiutant go zabrał i został rozstrzelany, ale nie wiem gdzie. Pozostałych trzech moich przyjaciół, którzy leżeli ze mną na izbie chorych, zostało rozstrzelanych na Palmirach.

Trochę wydobrałem i znów zacząłem aktywnie działać w ruchu oporu. Przez dentystkę Zofię Grzybowską przekazywaliśmy grypsy. - *Jurek, idź do warsztatów. My cię polecimy. Pójdiesz do krawców* – powiedział któregoś dnia doktor Śliwicki, u którego pracowałem później na izbie chorych jako porządkowy. Zacząłem szyć dla esesmanów mundury. Bruno Wojnarowski i Felicjan Fariaszewski nauczyli mnie przenicowywać spodnie i pikować klapy. A Nadzieja Worobiew pracowała w kuchni szpitalnej, ale nie była więźniarką. Codziennie przychodziła na Pawiak. Przekazywaliśmy przez nią wiadomości. To była koleżanka mojej mamy. Zawsze mi coś przynosiła do jedzenia. Pracowałem, więc mogłem dostawać paczki.

17 kwietnia 1942 roku zjadłem obiad. Przychodzi esesman i ni stąd ni zowąd znalazłem się w transporcie do Auschwitz. Kilkadziesiąt wozów policyjnych przewiozło nas na dworzec główny wówczas przy ulicy Towarowej. Tam już czekały wagony bydłce. W całym transporcie było nas czterystu osiemdziesięciu. Do mojego wagonu wpakowali około osiemdziesiąt osób. Zamknęli nas i pociąg ruszył.

W nocy pociąg stanął. Nie wiem czemu. Ciemno wszędzie, nic nie widać. Słyszę, że ktoś gwizdże: „Jeszcze Polska nie zginęła” i szybkie kroki esesmanów. Milknie gwizd. Pociąg znów ruszył.

WANDA

Auschwitz. Blok 18A. Godzina czwarta rano – pobudka. „Śniadanie”: kawa albo miętowa herbata. Od piątej już byliśmy w pracy, z której wracaliśmy o dwudziestej drugiej. W samo południe był „obiad” – zupa, czyli przegotowana woda. Nazywaliśmy to Wassersuppe. Po pracy dostawaliśmy kilogram chleba na czterech i pięć gram margaryny. Podczas rozdawania porcji kapo zawsze nas okradał. Margaryny zwykle nie widzieliśmy na oczy. Jedzenie w obozie? Zabawne, jak się samemu czegoś nie zorganizowało, to było dramatycznie. Raz w tygodniu gotowano nam białą zupę. Po wyzwoleniu, jak byłem jeszcze w szpitalu, jeden z amerykańskich oficerów zapytał mnie: - *Wiesz z czego ta zupa była?* – *Nie. – Z kości. Mielilo się kości ludzkie i zalewało gorącą wodą.* Do dziś pamiętam lekko słodkawy smak tej zupy.

Na początku '41 roku Heinrich Himmler wydał zarządzenie, żeby wybudować Birkenau (Brzezinkę) na 100 tysięcy więźniów i zakłady gumy syntetycznej (Buna Werke) i.G. Farbenindustrie w Monowicach.

Z Auschwitz jeździliśmy pociągiem do wioski Dwory. Tam byliśmy dzieleni na grupy. Pracowałem w komando 113. Budowaliśmy drogę przez Wioskę Dwory do Monowic. Moim kapo był niemiecki więzień z czarnym winklem – Affe Thünn, czyli mała z długimi rękami - tak go nazywaliśmy. Był mały i miał długie ręce. Nasze komando składało się z więźniów polskich i francuskich Żydów. Dostaliśmy łopaty i kilofy. Siedemnaście godzin przerzucania ziemi, kopania dołów. Trzeba było mieć oczy dookoła głowy. Kiedy szedł esesman, to się pracowało, a jak esesman przeszedł, to się odpoczywało. Tak samo z kapo. Strasznie się ryzykowało, bo jak kogoś przyłapano na odpoczynku, zabijano na miejscu.

Jak pracowałem i chciałem pójść do ubikacji... Ubikacji? To była deska, dół i nic więcej przy szosie. Na załatwienie się mieliśmy minutę. Gdy trwało to dłużej, esesman kopał więźnia, który wpadał wprost do głębokiego rowu z odchodami i do widzenia. Zawsze patrzył na zegarek, ile siedzę.

Na obiady chodziliśmy do Monowic. Na zupeę z wody. Po godzinie wracaliśmy z powrotem do pracy. Oprócz budowy drogi Affe Thünn kazał mi myć naczynia po „obiedzie” po wszystkich więźniach. Dostawaliśmy tylko ciepłą wodę, ale Ordnung muss sein, więc miski trzeba było umyć. Gdzie? W pierwszej lepszej studni. Poszedłem z esesmanem do jakiejś zagrody. Myję naczynia w zimnej wodzie. W wiosce Dwory. Jakaś młoda dziewczyna do mnie podeszła. Uśmiechnęła się i mówi: - *Niech pan chwilę zaczeka. Przyniosę ciepłą wodę. Ta jest niedobra do mycia naczyń.* Tak poznałem Wandę, która bardzo dużo mi pomogła i moim kolegom w obozie.

Wrzesień 1940 roku. Rotmistrz Witold Pilecki (w obozie Tomasz Serafiński) został wysłany do Auschwitz, by stworzyć ruch oporu. Z powierzonej mu misji szybko się wywiązał. Zbieraliśmy wszystkie informacje: kto i w którym transporcie przyjechał, kto został zastrzelony, który esesman zabijał najwięcej osób. Np. pisaliśmy, że Rapportführer Gerhard Palitzsch codziennie zabija 50-ciu więźniów pistoletem pneumatycznym na bloku 11, tzw. „bloku śmierci”.

Dokumentowaliśmy obozowe życie. Szmulewski pracował jako miernik. Któregoś dnia dostał od majstra, który z nim pracował, aparat fotograficzny w chlebie. Już wiedział, co ma z nim zrobić. Ukrył aparat pod pasiakiem i pracował jakby nigdy nic. Kiedy nikt nie patrzył, robił zdjęcia (można je zobaczyć w muzeum w Oświęcimiu). Po pracy oddawał ten chleb z aparatem majstrowi. Ktoś inny potem te zdjęcia wywołał, a ktoś inny wyniósł je z obozu. Ruch oporu działał nie tylko wewnątrz, ale też na zewnątrz obozu. Wszystkie informacje przekazywaliśmy Polakom, mieszkającym w okolicy Auschwitz. W '43 r. ruch oporu wysłał zdjęcia i telegram do Churchilla i Roosevelta z prośbą o zbombardowanie linii kolejowej, bo całe transporty szły prosto do gazu. Odpowiedź była krótka: nie możemy w tej chwili tego zrobić.

Dwory, Brzeszcze, Rajsko, Babice, Budy, Broszkowice, Pławy, Harmęże i inne – mieszkańcy tych wiosek bardzo nam pomagali. Właśnie dzięki takim ludziom jak Wanda obozowa konspiracja była możliwa. Ona dawała mi jedzenie, powiadomiła rodziców, że jestem w Auschwitz, przekazywała korespondencję od i do więźniów itd. Kiedyś jak myłem u niej miski, przyniosła mi kakao. Ciepłe kakao. Nigdy nie zapomnę tego smaku. Przekupiła esesmana, żebym mógł z nią rozmawiać. Pewnego dnia została zdekspirowana i aresztowana. Gestapo wsadzało swoje wtyczki do obozu. Przesłuchiwał ją Untersturmführer Grabner. Cóż to był za bandyta. Później trafiła na blok 11 - blok śmierci. Kiedy była na wolności, siedziałem w obozie, a gdy już przetransportowano mnie do Gross Rosen, Wanda poszła do Birkenau.

Ruchowi oporu udało się uratować wielu ludzi między innymi włoskiego Żyda - Luigi Sagi. Szedł razem z ojcem do gazu. Jego ojciec miał 10 dolarów w złocie i podszedł do esesmana. Mówił świetnie po niemiecku: - *Wiem, że muszę iść do gazu, ale niech pan ratuje mojego syna.* I dał mu łapówkę. Luigi nie poszedł do gazu. Skierowano go do Sonderkomando. Zajmował się paleniem trupów. W Sonderkomando można było pracować tylko trzy miesiące. Potem dostawało się zastrzyk z fenolu i szło do gazu. Wiedzieliśmy o tym, więc postanowiliśmy go stamtąd wyciągnąć. Udało nam się znaleźć mu pracę w Auschwitz 1, czyli Stammlagerze. Przeżył. Zmarł w 2002 r. w Rzymie.

Co było najtragiczniejsze? Kiedy pracowałem przy budowie Strassebau Kerling, drogi prowadzącej do Birkenau, widziałem jak rozdzielano matki i dzieci. To była tak zwana selekcja. Krzyki tych matek i dzieci były najtragiczniejsze. To mnie doprowadzało do

szaleństwa. Patrzyłem i nic nie mogłem zrobić. Ta przerażająca niemoc. Wiedziałem, że one nie idą pod prysznic. Wiedziałem, że za moment z sitek popłynie cyklon B, a nie woda. To było najtragiczniejsze. Z kilkuletnich dzieci Niemcy zrobili wrogów Trzeciej Rzeszy.

Pewnego dnia zrażono mnie tyfusem. Po chorobie zacząłem pracować jako elektryk. Wszystkiego nauczyli mnie koledzy, bo zielonego pojęcia nie miałem o kablach i prądzie. Wiedziałem, że jest plus i minus. Nic poza tym. Ze Strassebau Kerling ciągnąłem drut kolczasty – budowaliśmy płot. Budowaliśmy też baraki. Drewniane były dla mężczyzn, a ceglane - dla kobiet. Wybudowaliśmy też cztery krematoria w Birkenau i cztery komory gazowe w Auschwitz.

CHCE ŻYĆ

Aby przeżyć, nie wolno było pracować na powietrzu. Gdy esesman pytał, jakim się jest fachowcem, każdy coś wymyślał, a to, że jest elektrykiem, inny - krawcem. Nigdy w życiu tego nie robił, ale trzeba było się ratować. Pod dachem się nie mokło, nie marzło. To była szansa, żeby przeżyć. Mieliśmy jedno ubranie, jedne buty. Praca pod gołym niebem to właśnie Arbeit macht frei. Nie dłużej niż trzy miesiące.

Człowiek działał jak robot. Jak go postawią, to stoi. Jak każą mu robić, to robi. Trzeba było uważać na każdym kroku, żeby się nie podpaść. Z czasem wiedzieliśmy już, który esesman jak uderza pałką, który kapo bije mocniej, a który słabiej. Jak tylko łokieć esesmana dotknął szczęki, trzeba było paść jeszcze przed uderzeniem. Padając, amortyzowało się uderzenie. Musieliśmy nauczyć się przewracać i od razu wstawać, jak wańka wstańka. Bo jak się nie wstało, skopał człowieka na śmierć. Wymagało to niesamowitego refleksu i przede wszystkim siły.

Mieliśmy szósty zmysł. Trzeba było kierować się instynktem. Jakiś wewnętrzny głos mówił nam, co mamy robić. Ale ten głos słyszało się dopiero po wielu miesiącach spędzonych w obozie. Dochodziło czasem do absurdalnych sytuacji. Kiedyś zajrzałem koledze głęboko w oczy i wiedziałem, że umrze. Pytano mnie: - *Jurek, co ty widzisz?* – *W jego oczach są takie kuleczka, jakbym go widział na przestrzał.*

Każdy z nas przede wszystkim chciał żyć. To było najważniejsze, ale nie za wszelką cenę. Chcę żyć, ale nie sprzedam się Niemcom. Kiedy w '39 roku złożyłem przysięgę i wstąpiłem do ruchu oporu, wiedziałem, do czego się zobowiązuję i co może mnie czekać. Wiedziałem, że mogę być torturowany, a nawet zabity. Ale wiedziałem też, po co to robię. Tworzyliśmy jedną wielką obozową rodzinę. Musieliśmy sobie pomagać w znalezieniu pracy pod dachem, jak ktoś był chory, trzeba było zorganizować lekarstwo itp. Nie wolno było się poddać. Tych, którzy stracili chęć życia, którym nie chciało się już chodzić do pracy, którzy nic nie robili, nazywaliśmy „muzułmanami”.

Trzeba było mieć w obozie dużo przyjaciół, którzy zawsze pomogą. Trzeba było uważnie wszystko obserwować. Zagrożenie dla nas stanowił każdy. Np. blokowi bardzo często byli homoseksualistami. To byli przeważnie niemieccy więźniowie-kryminaliści. Upatrzył sobie młodego człowieka, wieczorem miał miłość, a rano go zabił, żeby nie było świadka. Kiedy Niemcy zauważyli w ewidencji, że więzień żyje dłużej niż trzy miesiące, przekazywali go do innego obozu. Fachowców trzymali do roboty, a ci, którzy byli niepotrzebni, jechali do innego obozu.

Jeszcze jedno - nie wolno było się rozczulać. Byliśmy bardzo młodzi. Chcieliśmy mieć mamę przy sobie, żeby nas pogłaskała, przytuliła. Nie wolno było myśleć o rodzinie. To była nieludzka walka z samym sobą. Dlaczego? Bo jak się zaczynało myśleć, człowiek się rozklejał i wtedy brakło mu siły na przetrwanie.

Nie było łatwo nauczyć się reguł obozowych. Człowiek jest tylko człowiekiem. Którejś niedzieli przez obóz przechodził esesman. Wszyscy na baczność i zdejmują czapki. Nawet na nas nie spojrział. Rzucił mi pod nogi papierosa. Podniosłem go, gdy mnie minął. Wtedy się odwrócił. Zawołał mnie i dał mi w papę: - *Ty polska świnio! Chcesz palić niemieckiego papierosa?* Spisał mój numer. Na wieczornym apelu wywołują mój numer. Dostałem cztery noce Stehbunkra na bloku 11. To takie małe murowane pomieszczenie, do którego się wchodzi i stoi całą noc. Obok mnie stało jeszcze trzech więźniów. Smród, wilgoć, ciasnota i wycieńczenie – coś straszego. Po takiej nocy szedłem do pracy, a potem z powrotem do Stehbunkra. Pracowałem wtedy na Strassebau Kerlin przy budowie drogi do Brzezinki.

Nikt nie wie dokładnie, ile osób było w Auschwitz. Tuż po wyzwoleniu Rudolf Häss i profesor Zen zeznali, że przez obóz przeszły cztery miliony więźniów. W Heflingsbüche, czyli książce, do której wpisywano dane więźnia, kiedy był przyjmowany do obozu, numery są od 1 do 405000. Niemcy są bardzo dokładni, ale więźniowie z transportów, którzy szli bezpośrednio do gazu, nie byli rejestrowani. Wiele dokumentów – listy przewozowe z Deutscheichbahn, gdzie były nazwiska więźniów, zostały zniszczone. Pod koniec '44 roku Niemcy zaczęli ewakuować więźniów z Auschwitz w głąb Niemiec, bo uciekali przed Rosjanami. „Pasiasta” armia ruszyła pieszo do innych obozów. To była tzw. „droga śmierci”. Masa ludzi zginęła. W obozie zostali chorzy i dzieci. Wiem, że został również mój kolega Adam Kuryłowicz. Schował się pod trupami. Tak się uratował.

ZASTRZYK

To był maj '42 roku. Budowałem drogę w Monowicach. Wyładowywaliśmy z pociągu materiały budowlane. Z samego rana spadła mi rura na brzuch. Cały dzień przeleżałem na trawie, zwijając się z bólu. Wieczorem koledzy zanieśli mnie do obozu. Trafiłem na blok 28, czyli do szpitala. Dostałem zastrzyk i przeniesiono mnie na blok 20, gdzie Niemcy prowadzili eksperymenty pseudomedyczne. Od polskich pflegerów, czyli pielęgniarzy, dowiedziałem się, że zarażono mnie tyfusem. To był właśnie jeden z robionych na więźniach eksperymentów. Przez dziesięć dni walczyłem o życie. Miałem czterdzieści stopni gorączki. Koledzy powiedzieli mi, że bym nie łykał żadnych tabletek, które mi dają lekarze-esesmani. Niemcy robili różne lekarstwa i sprawdzali na młodych więźniach, jak na nie reagują. Szukali nowych super-lekarstw dla swoich żołnierzy walczących na froncie. Wszystko, co mi podawali, brałem pod język i kiedy lekarz sobie poszedł, wypluwałem.

Po dwóch tygodniach przyszedł do mnie kolega z ruchu oporu i mówi: - *Jurek musisz z tego bloku uciekać, bo cały idzie do gazu.* Przyjaciele pomogli mi dostać się na blok 25. Przez pewien czas pracowałem jeszcze przy budowie drogi do Birkenau. Potem byłem elektrykiem. Ale cały czas mój numer widniał w ewidencji na bloku „tyfusowym”, więc musiałem uciekać. Na początku czerwca '42 roku przed obozową kuchnią spotkał się Palitzsch z komendantem obozu Gross Rosen – Antonem Thumanem. Wybierali ludzi krzepkich i zdolnych do pracy. Koledzy uratowali mi życie, bo wpakowali mnie do tego transportu. Na drogę dostałem sympatol na serce i glukozę, a od Wandy 20 marek. Dwa dni czekaliśmy między blokami w drewnianym baraku na „podróż” do Gross Rosen. Niektórzy mówili, że mamy dużo szczęścia,

bo jedziemy do obozu pracy. Nic nie wiedziałem o Gross Rosen. Okazało się, że to są kamieniołomy.

DUŻE RÓŻE – GROSS ROSEN

Wysiedliśmy na stacji Gross Rosen. Lato w pełni '42 roku. Pięciuset więźniów. Musieliśmy przejść przez całe miasto, żeby dojść do obozu. Mieszkańcy krzyczeli: - *Bandyci! Dobrze wam tak!* Wystraszeni w końcu dotarliśmy pod bramę. Obóz w porównaniu do Auschwitz – malutki. Wejście było prowizoryczne. Ale panorama - piękna. Dookoła nas Sudety. Gross Rosen z lotu ptaka musiał wyglądać jak wielkie schody. Baraki dzieliła główna ulica, a każdy jeden stał trochę niżej niż poprzedni.

Zacząła się dobrze znana mi już kwarantanna. Najpierw kąpiel. Niedaleko od bloków, na górcie stała beczka - cztery metry na trzy, głęboka na metr. W beczce była woda i lizol, czyli płyn do dezynfekcji. Myliśmy się dziesiątkami. Wszyscy w tej samej wodzie. Nad nami stał esesman. Jak się nie zanurzyło głowy, dostawało się pałką w łeb. Potem było golenie. Jeden z najstarszych więźniów trzymał patyk z przymocowaną do niego żyłką. Pokroił nam głowy. Dopiero później w obozach były maszynki. Wszystkich ogolono normalnie, a Rosjanom zostawiono tak zwaną „wszawą drogę” – przez całą głowę po środku taki wygolony pas. Śmiało się z nich, że to droga dla wszy. W Gross Rosen stałem się numerem 2751. Dostałem po kimś „nowe pasiaki” i drewniane buty.

KAMIENIOŁOMY

Z naszego transportu wybrano fachowców, czyli stolarzy, ślusarzy itd. Poszli na blok 8. Jednak większość z nas – w tym ja – nie była żadnym fachowcem, więc Niemcy kazali nam nauczyć się obróbki kamienia, a konkretnie granitu. Trafiliśmy na blok 7 tak zwanych Steinmetzerów.

Dzień po przyjeździe do Gross Rossen z samego rana poszliśmy do kamieniołomów. Setka ludzi. Dostaliśmy szpicak i młot. Kamieniarz zwykle używa młotka drewnianego, a my dostaliśmy żelazny. Majstrami byli Niemcy. Uczyli nas, co i jak mamy robić. Moim zadaniem było wyrównanie kamienia. Po pierwszym dniu spuchła mi ręką, bo poobijałem ją tym wielkim młotem, a tu nie ma zmiłuj, każą robić dalej. Pył z granitu jest bardzo szkodliwy, rani płuca. Zacząłem płuć krwią. W kamieniołomach wytrzymałem około tygodnia. Adolf Frytz (więzień numer 3) pomógł mi zmienić pracę. Zająłem się obsługą dźwigu, chociaż w ogóle się na tym nie znałem. Ja swoje a wajchy swoje. Miałem przestawiać wózki z kamieniami. Zupełnie mi to nie szło.

Któregoś dnia w sierpniu '42 roku spotkałem kolegę Bogdana Lebidę (numer 229). Bogdan był elektrykiem. Pyta mnie: - *Jak ci tam w tym dźwigu?* – *Fatalnie, nie znam się na tym. Proszę, zabierz mnie do siebie.* Interweniował w mojej sprawie u swojego kapo. To był więzień polityczny numer 53, Willi Michalsky, Niemiec z Wrocławia. Trochę mówił po polsku. Do obozu trafił za lewicowe poglądy. Stracił trzech synów na froncie.

Następnego dnia już zakładałem instalację w esesmańskich barakach. Wierciliśmy dziury, ciągnęliśmy kable, kładliśmy rurki, zakładaliśmy gniazda, kontakty itd. Część z nas robiła płot. Koledzy ciągnęli drut kolczasty przez cały obóz. Kiedyś jeden więzień powiesił na płocie nożyce do cięcia drutu. Skończył pracę i zapomniał ich zabrać ze sobą. Znalazł je

esesman. Stwierdził, że zrobiliśmy to specjalnie, żeby uciec. Wszyscy dostaliśmy dwadzieścia pięć batów na goły tyłek, łącznie z kapem.

Jako elektryk miałem szansę zorganizować coś do jedzenia, np. gdy wymieniałem żarówki. Gdy jedna się przepaliła, szedłem do sztuby do esesmanów i mówiłem, że spaliły się dwie. Nie sprawdzali tego. Dostawałem dwie żarówki. Jedną wymieniałem, a drugą dawałem blokowemu. W zamian otrzymywałem ćwiartkę chleba. Jak miałem coś do jedzenia, to musiałem się podzielić. Wszystko jedno czy koło mnie stał Polak, Rosjanin, Żyd, czy Francuz. To był w obozie obowiązek: pomagać jeden drugiemu, dlatego garstka z nas przeżyła.

PARATYFUS

Grudniowy wieczór '42 roku. Wróciłem po pracy na blok i wycieńczony padłem na łóżko. Dostałem dreszcze, wysoką temperaturę. Koledzy zanieśli mnie na rewir do doktora Kazimierza Hałgasa. Przebrał mnie i nie miał wątpliwości: – *Tyfus. – Jak to? Już miałem tyfus w Auschwitz. – Czyli paratyfus.*

Znów miałem wielkie szczęście. W obozie nie było lekarstw, a jednak żyję. Dzięki doktorowi Kazimierzowi Hałgasowi i Adolfowi Frytzowi. Doktor, podobnie jak ja, do Gross Rosen trafił z Auschwitz. Dawał mi lekarstwa, które Frytz kradł w Führerheimie, czyli w domu oficerów. Adolf do obozu trafił już w '33 roku. To więzień numer 3, niemiecki komunista. Był kelnerem u esesmanów. Zbierał tłuszcz z zupy i gotował mi z tego rosół. Niezwykły człowiek. Nie tylko mnie uratował. Uratował wielu moich kolegów.

SZCZĘŚCIE

Wiosną '43 roku bandziora Obersturmführera Antona Thumanna zastąpił (imię) Endsberger. Wtedy dostałem pracę w Unterführerheimie, czyli tam gdzie mieszkali podoficerowie. Po pół roku przeniesiono mnie do Führerheimu, do domu oficerów. Byłem kalifaktorem, czyli, jak się mówiło w obozie, „Mädchen für alles” (dziewczynka do wszystkiego). Sprzątałem, słałem łóżka, zmywałem naczynia, prałem, czyścił mundury itd. Pamiętam jak ze spaceru wrócił esesman i rzucił mi pod nogi mokre buty. Wrzasnął tylko: - *In fünf Minuten polier auf Hochglanz!* I zrób tu mu „Hochglanz” w pięć minut. – *To jest Hochglanz? Ty świnió!* Jak mi przyrznął tymi butami, to myślałem, że już nie wstanę. Cztery lata i osiem dni. W ciągłym strachu.

Jestem pewien, że przez cały czas ktoś nade mną czuwał. Kiedy byłem w szpitalu chory na paratyfus, dostałem sweter z jakiegoś tworzywa. Nie wiem z czego był zrobiony, ale na pewno nie z wełny. Później na bloku dostałem drugi raz taki sam sweter, bo nie powiedziałem, że już jeden mam. Poszedłem na apel i jak idiota stanąłem w pierwszym rzędzie. Ten sweter miał dekolt w kształcie trójkąta. Założyłem oba, bo było mi strasznie zimno. Jeden w jedną stronę, a drugi w drugą. Przez to nie miałem pod szyją wycięcia, tylko widać było, że mam drugi sweter pod spodem. Na taki głupi pomysł wpadłem! Przechodził obok mnie esesman i od razu zauważył, że mam dwa swetry: - *Ukradłeś!* Zapisał mój numer.

Rano na apelu wzywają mnie do komendanta obozu. Idę. Po głowie krążą mi myśli: karna kompania, czy zatłuką mnie na miejscu? Wchodzę. Na krześle siedzi komendant obozu Obersturmführer Thumann, a na poręczy – Raportführer Eschner. Obok nich stoi tłumacz - Doliński. Melduję się: - *Schutz Heftling Pole Numer 2751, melde zu Stelle. – Ukradłeś sweter!*

– *To nieprawda, panie komendancie. Jeden sweter dostałem na rewirze, gdy chorowałem na paratyfus, a drugi, jak wróciłem po chorobie na blok. - Ist das Wahrheit? Czy to prawda? – Ja, natürlich, Herr Obersturmführer.* Cisza. Patrzy na mnie przeraźliwym wzrokiem. W końcu wykrztusił z siebie: - *Znikaj mi z oczu! Raus!* Nie dostałem żadnej kary. Moim koledzy nie chcieli w to uwierzyć.

Jestem dzieckiem szczęścia. To był rok '43. W obozie rządził już Endsberger. Na wojnie stracił nogę i miał protezę. Mieszkał z żoną. Któregoś dnia sprzątam korytarz. Woła mnie Endsberger. Przeraziłem się, że coś nabroilem. Wchodzę do jego pokoju, a on zasłania okna i karze mi zamknąć za sobą drzwi. Stół elegancko nakryty, czysty biały talerz i srebrne łyżki. Na środku stoi waza z zupą. Nie mogłem od niej oderwać wzroku. W końcu odezwała się żona Endsbergera: - *Niech pan siada, na pewno jest pan głodny.* Nalała mi zupę. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Wygrał głód. Usiadłem i łapczywie opróżniłem talerz. Zaraz potem drugi. Na szczęście w porę odezwał się we mnie zdrowy rozsądek. - *Chcesz jeszcze? – Danke schön.* Podziękowałem. Miałem skurczony żołądek. Gdybym zjadł więcej, mógłbym skończyć w krematorium.

- *Schowaj to. Później zjesz.* Pani Endsberger dała mi jeszcze chleb posmarowany margaryną z plasterkiem koniny. Już chciałem wychodzić, ale zatrzymał mnie Endsberger: - *Pamiętaj, nie byłeś u nas, nic nie widziałeś, nic nie dostałeś. - Tak jest, panie komendancie!* To było w południe. Po pracy poszedłem na apel wieczorny. Na placu stoją tysiące ludzi. Przyszli pijani oficerowie, z nimi komendant Endsberger. Rapportführer melduje mu, że wszystko jest w porządku, stan obozu taki i taki. Jeden z oficerów wyszedł na środek placu i rzucił więźniom pod nogi papierosy „Bregawa” i „Drawa”. Niektórzy się na nie rzucili. Endsberger wyjął pistolet i zastrzelił pięciu więźniów. Ten sam Endsberger, który kilka godzin wcześniej nakarmił mnie. Nie rozumiem mentalności Niemców. Jednemu dał chleb, a drugiego zatłukł. Nie wiadomo po co, dlaczego, nic nie wiadomo.

W Führerheimie oprócz mnie pracował jeszcze Tadeusz Grzyb i dwóch Niemców, z których jeden miał czarny, a drugi różowy winkiel. W pokojach oficerów było radio. Więźniom nie wolno było go słuchać, ale jak sprzątałem, nudziło mi się i zawsze grało po cichu. Wszystko wiedziałem, co się dzieje w świecie. Pod koniec '43 r. pracujący ze mną Niemiec podkablował mnie do Endsbergera. Powiedział komendantowi, że słucham radia. Za to groziło rozstrzelanie. Wyrzucono z Führerheimu nie tylko mnie, ale i jego. Kazano nam kłaść kanalizację. Po dwóch tygodniach, w styczniu '44 roku znalazłem się w transporcie do Dachau.

DACHAU

Dachau – piękne miasto niedaleko Monachium. Obóz koncentracyjny znajdował się na jego północnych obrzeżach. Z lotu ptaka tworzył niemal idealny prostokąt. Tu nie tylko druty kolczaste służyły Niemcom, służyła im również sama natura. Klimat w Dachau był wyjątkowo wrogi więźniom. Liczne torfowiska i bliskość Alp powodowały niebezpieczną dla zdrowia wilgotność powietrza. Lato było nieprzewidywalne. Albo skrajne upały, albo przeszywające zimno. Wiosna i jesień to dla obozu miesiące śmierci. Ciągłe opady zabijały steki, tysiące więźniów pracujących pod gołym niebem. Wygłodniali, w pasiastym mundurze padali twarzą w rozmiękła glebę. Już nigdy więcej nie zobaczyli tych pięknych bawarskich wschodów i zachodów słońca.

W Dachau pracowałem na gigantycznej plantacji gladioli (mieczyków) u Göringa. Ścinałiśmy liście, wieźliśmy je do prasowalni i suszarni. Z tego był sok bogaty w cebion, czyli w witaminę C. Naszym kapo był Polak, Władek Rybak, wielki patriota ze Śląska. Bardzo nam pomagał. Działał w ruchu oporu.

Jesienią '44 r. trafiłem do Transportkommando. Zajmowałem się przewożeniem żywności, mebli, czy leków do szpitala dla esesmanów. Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, zmieniłem pracę, bo nie mogłem już dostawać paczek z żywnością. Zacząłem pracować w kuchni. Pewnego dnia esesman nie dał mi margaryny, która miała być do zupy mlecznej. Pytam: – *Co pan robi?* A ten rzucił się na mnie z pałą. Tak mi przyłożył w rękę, do dziś mam sztywny palec.

Trafiłem do szpitala. Kości miałem połamane w kilku miejscach. To był czas, kiedy nie wolno już było bezkarnie bić więźniów. Lekarz z rewiru opowiedział oficerowi, co mi się przydarzyło. Esesmana wysłano za karę na front, a ja trzy tygodnie chodziłem z ręką na temblaku i nic nie robiłem. Byłem na tzw. „szonungu”, czyli zwolnieniu. To był październik '44 roku. Do Dachau przyjechał Arbeitsdienstführer Schwartz. Poznałem go w Gross Rosen, gdy pracowałem jako kalifaktor w Unterführerheimie. Poszedłem do niego, zameldowałem się i poprosiłem o pracę. – *Co chcesz robić?* – pyta mnie. – *Chcę pracować tam, gdzie będę miał co jeść.* Tak trafiłem na SS-rewir, czyli do szpitala dla esesmanów. Przeniosłem się na blok 9 - do pielęgniarzy i lekarzy.

RUCH OPORU

Niemcy opanowali Belgię i Holandię. Pojmali wtedy wiele młodych pielęgniarek, które wysyłali na front, żeby służyły niemieckim żołnierzom. Denis Denutte i Marie Cleer z Belgii oraz Mini Penders z Holandii z frontu trafiły prosto do Dachau. W szpitalu dla esesmanów bardzo prężnie działał ruch oporu. Współpracowały z nami właśnie belgijskie i holenderskie pielęgniarki. Specjalnie nie zamykały apteczki. Dzięki nim Józef Sowiński, Longin Literacki i ja mogliśmy kraść esesmańskie lekarstwa - przeważnie sympatol na serce i glukozę. Przemycaliśmy je do obozu, gdzie ludzie umierali na tyfus. Udało nam się uratować inżyniera Adama Starkiewicza i wielu innych więźniów.

Pod koniec wojny w Dachau szalała epidemia tyfusu. Z głodu zaczęła mi się zbierać woda pod kolanem. Sprzątałem w SS-rewirze i uderzyłem się o krzesło. Poczulem porażający ból. Upadłem i zobaczyłem wielką plamę na moich pasiastych spodniach. Wyciekła woda z krwią i została rana.

Trafiłem najgorzej jak mogłem. Na blok 5. Wpadłem w szpony doktora Raschera, który prowadził eksperymenty pseudomedyczne. Robił mi opatrunki z flegmonu, czyli ropowicy. Tak nas leczył, że ludziom łamały się kości, zbierała się ropa i gniło ciało. Mnie pomogli koledzy, szczególnie doktor Ali Czarkowski, którzy, jak tylko Rascher gdzieś wyszedł, wymywali mi to świństwo z rany. Mimo to do dziś mam wielką bliznę na nodze.

WYZWOLENIE

W marcu skrócono nam czas pracy, a potem już w ogóle się nie pracowało. Do obozu macierzystego wróciły wszystkie komanda zewnętrzne. Ludzie umierali z głodu. Trupy leżały wszędzie. Dachau przygotowany na sześć, maksymalnie osiem tysięcy więźniów, musiał pomieścić ponad trzydzieści tysięcy. Nie ważne czy leżących, czy stojących. Ważne, żeby

byli na terenie obozu. Ludzie spali w barakach, łaźniach, kuchni, wszędzie, gdzie był wolny kawałek ziemi i dach nad głową. Hitlerowców już nic nie interesowało. Kazali nam pilnować porządku. Mieliliśmy sześciogodzinne dyżury. Po dwóch więźniów na zmianę. Siedziało się na wielkim krześle i obserwoowało wejście do obozu, a także bloki.

Bramę „Arbeit macht frei” Niemcy zamknęli na dobre. Nie było już rewiru, bo szpitalem stał się cały obóz. Dwóch katów - głód i tyfus – co minutę zabijało ludzkie szkielety. Głos w dyskusji zabrał jeszcze jeden kat. Himmler wydał zarządzenie, że „nikt z więźniów nie może żywy dostać się do rąk nieprzyjaciela”. SS-Wiking miało nas zniszczyć. Stefan Wolnik pracował u komendanta i zobaczył ten dokument na biurku. Schował go do spodni i przyniósł nam do obozu. Każdy więzień jak mantrę powtarzał to zdanie. Wiatr tańczył między barakami i szczył: „nikt, nikt, nikt, żywy, żywy, żywy, nie dostanie się, marzyciele, w ręce, ręce, aliantów”. Ale nie chcieliśmy się poddać. Stefan przekazał rozkaz Himmlera majorowi Leonowi Kaniaziołódzkiemu, jednemu z adiutantów marszałka Piłsudskiego, a ten z kolei oddał dokument znajomemu oficerowi SS, który dostarczył go generałowi Patonowi. Nie wiem, jak to zrobił. Każdy blok, każda narodowość, każdy więzień myślał, co zrobić, żeby przetrwać planowaną zagładę. Niektórzy kopali na bloku dziury w ziemi, żeby mieć się gdzie ukryć. Wierzyliśmy, że wszystkich nas nie zniszczą. Ale kto przeżyje?

Zaczęły się bombardowania. Gdy Amerykanie zrzucali całe serie bomb na lotnisko w Monachium, w Dachau chodziły nam prycze. W nocy było zupełnie jasno jak za dnia. Patrzyłem w niebo i miałem wrażenie, że to gwiazdy, które mogę złapać, wyciągając po nie rękę.

Niedziela, 29 kwietnia 1945 roku. Zmieniłem kolegę i rozpocząłem przypadający mi dyżur o godzinie 12. Usiadłem na stołku na końcu baraków. Tysiące bomb sypało się z nieba. Cały czas latały samoloty obserwacyjne. Straszny hałas. Na głównej drodze nie było żywej duszy. Plac apelowy pusty. Brama zamknięta. Godzina szesnasta. Patrzę w niebo i nie mogę się nadziwić, że te bomby spadają na wyciągnięcie ręki, a jednak żadna w nas nie trafiła. Myślę sobie: na razie. Godzina siedemnasta. Strzały coraz rzadsze. Ciężkie powietrze. Serce zaczęło mi walić, jakby wyczuło, że coś się dzieje. Ale co? Biała flaga. Niemcy się poddają! Ktoś biegnie przez plac apelowy w kierunku bramy. Pada strzał. Pada więzień. Na dziesięć minut przed wyzwoleniem Dachau. Przecieram oczy i nie wierzę, w to, co widzę. Nie, to niemożliwe. A jednak. Z wieży narożnej z podniesionymi rękoma i białą flagą wyszła cała załoga SS. Niedługo później na placu apelowym stali też Amerykanie. Tej radości nie da się opisać. Starszy obozu krzyczał: „Alles in die Baracke!”. Nikt go nie słuchał. Wszyscy biegli w naszych oswobodzicieli. Amerykanie otworzyli bramę, która czyniła wolnym. Bez pracy.

ADAM KOWALEWSKI

PORAŻENIE

Diplegia spastica – urodziłem się z mózgowym porażeniem dziecięcym, z obustronnym porażeniem i niedowładem kurczowym rąk, a przede wszystkim nóg. Nie rozwijałem się prawidłowo. Mózgowe porażenie dziecięce to niesprawność ruchowa spowodowana uszkodzeniem układu nerwowego.

Jako kilku miesięczne dziecko trafiłem do kliniki „OMEGA” w Warszawie. Zbadał mnie przyjaciel mojego taty doktor Loth i wszystko stało się jasne. Diagnoza - mózgowe porażenie

dziecięce. To był szok dla rodziców, bo przy porodzie otrzymałem dziesięć punktów. Lekarze-ortopedzi wydali na mnie wyrok – trzeba operować. Rodzice nie zgodzili się na to. Taty ciągle nie było w domu. Był pilotem wycieczek zagranicznych. Mama poświęciła dla mnie wszystko - rzuciła pracę i studia. Od piątego roku życia byłem rehabilitowany od rana do wieczora. To były ćwiczenia w wodzie, rozciąganie więzadeł Achillesa i przywodzicieli. Dużo pływałem, chodziłem na hipoterapię, czyli rehabilitację poprzez jazdę konną. Uczyłem się utrzymać równowagę, co przychodziło mi bardzo trudno. Z czasem nauczyłem się chodzić, choć pierwsze kroki stawiałem dużo później niż moi rówieśnicy.

Do piętnastego roku życia zdarzały mi się ataki padaczkowe. W nocy budziłem się z powodu nagłych skurczów mięśni wstrząsających nagle całym moim ciałem. Niestety takie pobudki zdarzają mi się do dziś.

W szkole podstawowej miałem straszne problemy. Nauczyciele nie mieli pojęcia o tym, co to jest mózgowe porażenie dziecięce i jak postępować z dzieckiem niepełnosprawnym. W latach osiemdziesiątych nie było klas integracyjnych.

Chodziłem w butach ortopedycznych, które były strasznie niewygodne. Miałem trudności z poruszaniem się. Po schodach wspinałem się bokiem, trzymając się kurczowo poręczy. Inaczej nie potrafiłem. Zawsze wchodziłem ostatni do klasy.

Mama, w obawie o moje bezpieczeństwo, przychodziła na każdą przerwę. Któregoś dniach niestety się spóźniła. Wszyscy ustawili się po przerwie przed klasą – dziewczynki po lewej, chłopcy po prawej. Wchodziłem już do sali, a mój kolega chciał koniecznie wejść przede mną, lekko mnie popchnął i wylądowałem w szpitalu z rozbitą głową.

Miałem trudności z pisaniem. Nie nadażalem wszystkiego zanotować. Nie zdałem z klasy czwartej do piątej przez matematykę. Mama wystąpiła o nauczanie indywidualne. Dyrektor na początku nie chciał się na to zgodzić, bo uznał, że nie poruszam się na wózku inwalidzkim, nie jestem na stałe przykuty do łóżka, a więc mogę chodzić na zajęcia z innymi dziećmi. Dopiero pomogło oświadczenie lekarskie. Nauczyciele przychodzili do mnie do domu. Średnia moich ocen od razu się podniosła. Ukończyłem ósmą klasę szkoły podstawowej (to był rok 1988, wtedy tata prowadził Marsz Żywych w Oświęcimiu) i nie wiadomo było, co dalej.

Niepełnosprawne dziecko, które kończy szkołę podstawową jest kwalifikowane do dalszego nauczania. O tym decydowała Poradnia Wychowczo-Zawodowa (teraz Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna). Zrobiono mi badanie na iloraz inteligencji (skalą Wekslera). Miałem słaby wynik w bloku arytmetycznym. Nigdy nie byłem orłem z matematyki, ale jak się później okazało podstawy potrafiłem opanować. Zaniżono mi iloraz inteligencji, bo nikt nie chciał się zająć osobą niepełnosprawną. Próbowano mnie odsunąć na margines życia społecznego. Pani psycholog po badaniach powiedziała mamie, że nic ze mnie nie będzie, że moja dalsza edukacja jest bezcelowa i że kwalifikuję się ewentualnie do szkoły specjalnej. Dobiła mamę stwierdzeniem, że nie nadaję się nawet do roznoszenia gazet, bo nie będę potrafił ich przeliczyć.

Tragiczna była też wizyta w Wojewódzkiej Poradni Dla Dzieci i Młodzieży w Warszawie. Kierownikiem był wówczas pan Wiesław Sokoluk. Zajmował się trudną młodzieżą. Powiedział, że absolutnie do niczego się nie nadaję i że wątpi, abym z takimi wynikami badań skończył nawet szkołę specjalną. Po interwencji mamy pan Sokoluk - w uzgodnieniu z

badającą mnie panią psycholog - wyraził zgodę, żeby przyjąć mnie do liceum, ale... ekonomicznego. Skierowano mnie do Zespołu Szkół Ekonomicznych do klasy o profilu administracyjno-biurowym, gdzie oprócz matematyki, fizyki i chemii, była jeszcze bankowość, rachunkowość, arytmetyka itp.

Sokoluk specjalnie to zrobił, żeby mnie upokorzyć. To było jasne, że w takiej szkole nie miałem żadnych szans, żeby się utrzymać. Dostawałem prawie same dwójki. Tak się zniechęciłem do nauki, że zamiast chodzić na lekcje, przesiadywałem godzinami na sali gimnastycznej. Tylko pani od niemieckiego powiedziała mamie, że mam talent, którego nie wolno zmarnować i żeby rozwijała moje zdolności językowe. To był zmarnowany rok.

Jak się skończył ten koszmar, mama zapisała mnie do Naczelnej Organizacji Technicznej, żebym się nie nudził w domu. Skończyłem tam kurs komputerowy. Oprócz tego uczyłem się języka angielskiego.

Upadł komunizm, nastąpiły lata dziewięćdziesiąte i zaczęły powstawać prywatne szkoły. Zapaliło się dla mnie światełko nadziei, że będę mógł pójść do liceum. Musiałem tylko ponownie zrobić badania na iloraz inteligencji. Mama poszła do Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej (teraz jest to akademia) i zauważyła na liście wykładowców nazwisko pani doktor Łazanek, która również pracowała w Poradni Wychowawczo-Zawodowej. Była to moja rehabilitantka podczas obozu w Szwajcarii. Mama umówiła nas na spotkanie. Tym razem test wyglądał zupełnie inaczej. Był podzielony na 3 części i trwał dwa dni (a poprzednio męczyli mnie przez 8 godzin bez przerwy!). Na każdą część egzaminacyjną miałem 3 godziny - z przerwami, które pozwoliły mi się odprężyć, mogłem się napić, czy coś zjeść. I wypadłem pozytywnie. Iloraz inteligencji – w normie. Miałem nieco gorsze wyniki tylko w bloku przedmiotów ścisłych (zaburzenia myślenia arytmetyczno-logicznego). A wystarczyło trochę ze mną poćwiczyć...

Do liceum dostałem się bez problemu. Skończyłem Społeczne Liceum numer 35 w Warszawie, klasę o profilu ogólnym z rozszerzonym językiem hiszpańskim. Nauczycieli miałem cudownych. Zaprzyjaźniłem się z moim wychowawcą, który uczył mnie matematyki i fizyki. Do dziś mam z nim kontakt. W szkole miałem możliwość chodzenia na tzw. „douchki”, czyli płatne zajęcia po lekcjach. Dodatkowo uczyłem się matematyki, fizyki, chemii. I udało się. Maturę zdałem z trzech języków: polskiego, angielskiego i hiszpańskiego.

Skończyłem studia na Akademii Pedagogiki Specjalnej w 2002 r. z wynikiem dobrym. Moja katedra nazywała się oligofrenopedagogika, a teraz zmieniono nazwę na nauczanie niesprawnych intelektualnie. Chciałem napisać pracę magisterską o dzieciach z zespołem downa. Interesowałem się tym przypadkiem – jak ten zespół powstaje, jakie są powikłania itd. Po konsultacji z promotorem napisałem jednak pracę, którą zatytułowałem: „Nauczanie dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym w świetle analiz teoretyczno-empirycznych oraz własnych doznań”. „Człowiek rodzący się z jednostką chorobową taką, jaką jest mózgowie porażenie dziecięce, musi być otoczony szczególną opieką, troską, gdyż tej chorobie mogą współtowarzyszyć inne choroby” – to jedno z moich „magisterskich” przemyśleń.

Niestety nie pracuję w zawodzie. Chciałem uczyć dzieci niepełnosprawne, bo najlepiej je rozumiem. Jednak po moich studiach Ministerstwo Edukacji oznajmiło - „nie mamy pieniędzy na etaty w szkołach specjalnych”. Tym sposobem pozostał mi tylko wolontariat. Koło mojego domu jest szkoła specjalna. Poszedłem na rozmowę z panią dyrektorem. Powiedziała mi, że u niej jako palacz pracuje człowiek po Akademii Sztuk Pięknych. Ci,

którzy idą na emeryturę, nadal pracują jako wolontariusze. Ci, którzy idą na renty, zwalniają godziny, które dostają nauczyciele już w tej szkole pracujący. „Nie mogę nikogo więcej przyjąć, bo nie mam pieniędzy na wypłaty” – usłyszałem od pani dyrektor.

Lekarze, oświata i ZUS – to były moje największe porażki życiowe. Stałem przed komisją w ZUS-ie i mówię, że w tej chwili moim podstawowym problemem jest padaczka lekkooporna, która objawia się nagłymi, nieprzewidywalnymi drgawkami. A oni zaczęli się śmiać: „Pan ma padaczkę? Nie widać!”. Nie przyznano mi stopnia inwalidzkiego. Dowiedziałem się, że mogę śmiało pracować z padaczką. Chyba za dużo osiągnąłem jak na osobę niepełnosprawną, więc w mniemaniu ZUS-u przestałem nią być.

Nie jestem w stanie stanąć na stołku, nie wejść na drabinę, mam trudności z chodzeniem po schodach. Jak jest poręcz, to zwykle sobie poradzę. Mimo to ruchowo jestem dość sprany, ale mam pewne powikłania natury neurologicznej. Wszystko zależy od dnia – nie ode mnie.

Po wielomiesięcznym rozsyłaniu CV w końcu znalazłem pracę w biurze podróży Holiday Travel. Moi rodzice dobrze znają „ojca dyrektora” – tak nazywam mojego szefa (byłego dyrektora „Orbisu”). Bardzo się lubimy. Nie pracuję dużo, bo dziennie od dwóch do trzech godzin. Tak więc i moje zarobki nie są imponujące. Nadal mieszkam z rodzicami, którzy się mną opiekują. Niestety pewne rzeczy robię wolniej niż koleżanki z biura. Na komputerze przez cztery czy sześć godzin piszę tyle, ile one w dwie godziny. Ale za to nigdy nie zdarzyło mi się pomylić serii i numeru paszportu, czy innych danych klienta, podczas wpisywania do komputera. Jakie są moje zalety? Bardzo dobrze znam język angielski, hiszpański i niemiecki. Rozumiem włoski. Ostatnio nauczyłem się dodatkowo języka francuskiego, słuchając muzyki. Swobodnie już rozmawiam przez telefon z kolegami taty z Francji.

Szefowi się nie odmawia. Jak są paczki do dźwignia, to muszę pomóc, bo jestem jedynym mężczyzną w biurze. A niestety szybko się męczę. Odkąd zacząłem pracować, często w nocy rzucam się na łóżku. Myślę, że to od stresu. Bardzo się cieszę, że mam pracę, ale niestety mój organizm buntuje się przeciwko mnie.

Psychologia sportu - to mnie fascynuje. Chciałbym skończyć te studia i powiązać je z moją największą miłością. Może to niewiarygodnie zabrzmie, ale jestem instruktorem tenisa ziemnego. Tata nauczył mnie grać, a mama ostatnio spełniła moje największe marzenie. Uczę dwójkę dzieci - siedmioletniego Pawła i dwunastoletnią Ulę. Między nimi jest zbyt duża różnica wieku. Paweł jest niezwykle sprawny i do tego w idealnym wieku, żeby rozpocząć grę w tenisa. Chce być mistrzem. A ja chcę wyszkolić polskiego Rogera Federera. Muszę tylko znaleźć mu rówieśnika, żeby miał z kim rywalizować. Mama obiecała, że mi pomoże kogoś poszukać. Ale tak naprawdę to ja muszę jej pomóc. Muszę jej pomóc wygrać tę najtrudniejszą walkę w życiu. Z rakiem.

ANNA BYSTRZYCKA (z domu KOWALEWSKA)

ALBO - ALBO

Codziennie się z nią spotykam i mówię albo ona, albo ja. Dzisiaj ona jest górą, jutro ja. Któregoś dnia zaczęłam z nią rozmawiać – słuchaj maleńka, jesteś wredna, ale jak mi nie pomożesz, to ja ci tym bardziej nie pomogę. Jak będziesz mi rzucać kłody pod nogi, to będę cię niszczyć, nie poddam się, będziemy ostro walczyć. Musimy się dogadać. Jak mi ustąpisz, to ja ci może trochę też ustąpię. Dasz mi pochodzić, to jakoś ci się odwdzięczę. Ta dyskusja trwa cały dzień. Nie mogę rano ruszyć nogą. O nie, dziś to ty mi ustąpisz, bo ja muszę chodzić. Nie wiem na ile mi starczy sił, ale postanowiłam sobie, że będę chodzić. A ta wredna cały czas mi przeszkadza. Na imię jej sklerosis multiplex.

To schorzenie do dziś nie jest medycznie wyjaśnione. Sklerosis multiplex jest chorobą neurologiczną, która u każdego ma inny przebieg. Są pewne symptomy wspólne, ale mój przypadek nie potwierdził reguły. Nie miałam ani oczopłasu, ani podwójnego widzenia. Jedyna wspólna cecha to niedowład lewej nogi.

Skończyłam Akademię Wychowania Fizycznego. Byłam trenerem pływania. Od czasu do czasu pomagałam znajomym, którzy trenowali młodych piłkarzy. Któregoś dnia kolega poprosił mnie, żebym go zastąpiła i poprowadziła trening młodzików. Na boisku trawiastym ćwiczyła akurat pierwsza liga, więc nam przypadło boisko betonowe. Przeprowadziłam trening. Potem chłopcy rozpoczęli mecz sparingowy. Ponieważ drużyna przeciwna strzeliła dwa gole, moi chłopcy zaczęli ze wszystkich sił dążyć do rewanżu. Zaczęła się prawdziwa walka.

Byłam osobą szczupłą, niewysoką, ubraną na sportowo - podobnie do chłopców. W pewnym momencie potraktowali mnie jak zawodnika z drużyny przeciwnej. Ktoś zrobił mi „nakładkę” na kolano, wgniół w beton i do tego uderzyłam głową o ziemię. Chłopiec, który miał 180 centymetrów wzrostu i blisko 90 kilo żywej wagi wyskoczył w górę i sympatycznie się na mnie stoczył. Tak się robi „nakładkę”, tak się likwiduje przeciwnika. Na szczęście nie zemdlałam. Nie miałam czasu, żeby pojechać do lekarza. Byłam zachwycona, że w ogóle wstałam. Zmroziłam nogę aerozolem, który zadziałał jak środek przeciwbólowy, i wytrzymałam do końca meczu.

Następnego dnia wzięłam środek przeciw bólowy i poszłam na trening. Terminy nas gonią. Dzieciaki czekają. Nie można ich zawieść. Pojechaliliśmy na zawody. Wtedy czułam się jeszcze względnie dobrze. Wróciłam z zawodów i pojechałam odpocząć na działkę. Wieczorem zauważyłam, że coś niepokojącego zaczyna się ze mną dziać. Przestałam panować nad lewą stopą. Zaczęła mi po prostu opadać. Musiałam „rzucić” biodrem w górę, żeby nie dać się sprowokować własnej nodze, żeby się nie przewrócić. Musiałam zmienić ruch ciała. To było trudne. Miałam wówczas czterdzieści siedem lat.

Niezbędny był lekarz. Poszłam do ortopedy. Pan profesor był bardzo sympatyczny. Wspaniały człowiek, bardzo dobry fachowiec, wielu sportowców postawił na nogi. Ale moja rozmowa z nim trwała 10 minut. – *Proszę panią, to jest choroba neurologiczna, to jest porażenie nerwu.* – *Wspaniale i co dalej panie profesorze?* – *Mogę pani zrobić tylko jedną rzecz.* – *Cudownie, a co?* – *Mogę pani to podwiązać.* – *Bardzo pan jest miły. Wie pan co, życzę panu dużo sukcesów w życiu i pracy zawodowej, ale chyba jednak panu podziękuję na razie za tę przysługę.* Wróciłam do domu. Byłam wściekła. Podwiązanie stopy oznacza jej

całkowite unieruchomienie. Jak małe, zbuntowane, wściekłe dziecko zaczęłam pracować nad nogą, żeby tylko uniknąć podwiązania. Trzy miesiące non stop ćwiczyłam. I proszę spojrzeć – ruszam nią. Wypracowałam każdy ruch ciała od nowa.

STUTHOF

Urodziłam się z obniżony układem immunologicznym, czyli odpornościowym. Nad poprawą złych wyników badań, moja mama pracowała niemal całe życie. Do tego dochodziła alergia, astma itd. Jak byłam dzieckiem, lekarze zabronili mi pływać. W wodzie są siarczany, jest chlorowana i się na pewno udusisz - mówili. Potraktowałam wszystkich bardzo poważnie. Miałam intal w aerozolu, berotek też w aerozolu. Przed wejściem do wody brałam jeden albo drugi lek. Dzień dobry Panie Boże, albo ty mnie, albo powalczymy. I tak się zaczęło. Nie wiem jak to możliwe, ale przestawiłam swój organizm i nie dusiłam się. Zaczęłam z wodą współpracować. Wszelkie trudności mobilizują mnie do wysiłku. Jeden krok do przodu, pół kroku do przodu, ale idziemy dalej.

Jak miałam czternaście lat, pojechałam z mamą do sanatorium do Krynicy Morskiej. Nieopodal jest Sztutowo, a dawniej obóz Stuthof. Byłam tam trzy tygodnie. Codziennie wstawałam o godzinie czwartej rano, tak jak mój tata, i biegłam do obozu koncentracyjnego. Paranoja! Biegłam wzdłuż torów, którymi przyjeżdżały transporty. Cały Stuthof przebiegałam wzdłuż i wszerz. Uważałam to za mój obowiązek, by zrozumieć, co przeżył mój tata, dlaczego jest taki, jaki jest. Ojciec dostał się do obozu mając zaledwie szesnaście lat. Został zniszczony psychicznie. Ciągle musiał się bać o swoje życie. Ta trauma siedzi też gdzieś głęboko we mnie.

Obozowe doświadczenia mojego ojca dały mi w życiu bardzo dużo – siłę, nadzieję i konsekwencję w walce o życie. Chorobę traktuję jak wroga, którego należy pokonać. Jednocześnie mając świadomość, że czasem muszę z nią współpracować. Bardzo dużo zawdzięczam mojemu ojcu. Od niego nauczyłam się walczyć o każdy dzień życia. Dopóki starczy sił.

SKLEROSIS MULTIPLEKS

Rok po wypadku trafiłam na oddział neurologiczny, który badał również sklerosis multipleks. Zrobiono mi punkcję. Pobrano mi za dużo płynu mózgowo rdzeniowy, który długo się regeneruje. Przez to nie leżałam jak inni pacjenci przez trzy tygodnie tylko dwa miesiące. Upał był straszny, a ja leżałam w łóżku jak kłoda, ale nie było innego wyjścia. Chciałam żyć, chciałam znowu zacząć chodzić. Rezonans magnetyczny wykazał „około” sklerosis multipleks.

Chorzy na sklerotikus multipleks leżą w łóżku, mają mrowienie, czy drętwienie kończyn, oczopląs, zawrota głowy itd. Mnie nic z tych rzeczy nie dolegało. Byłam nietypowym przypadkiem. Tym bardziej, że objawy mojej choroby momentami przypominały stan powylewowy.

Gdybym miała zrobione badania genetyczne, byłoby dużo łatwiej ustalić przyczynę mojej choroby. Ale takie badania w Polsce nie są refundowane przez Narodowy Fundusz Zdrowia, a mnie po prostu na nie nie stać. W organizmie człowieka jest kilka, czy kilkanaście segmentów DNA odpowiedzialnych za układ nerwowy. Żeby tylko je przepadać, musiałabym zamieszkać pod chmurką. Przebadanie jednego segmentu kosztuje około tysiąca złotych.

Walka trwa. Wylądowałam na wózku inwalidzkim. Zaczęła się chemia. Byłam leczona mitoksantronem. To cytostatyk, który stosuje się w leczeniu na przykład białaczki. Co trzy miesiące musiałam się zgłaszać do szpitala na tak zwane wlewy, czyli podanie do żyły mitoksantronu. Okazało się, że w głowie zrobił mi się stan zapalny i mam zaatakowane komórki czuciowe w białej substancji. Problem miałam głównie z nogami. Zniszczone komórki nerwowe niestety nie regenerują się, dlatego jedyną szansą dla mnie było „obejście”, czyli poszukanie nowej drogi dla impulsu nerwowego, który uruchomi na przykład palec od nogi. Określony ruch trzeba wykonać dziesięć tysięcy razy, żeby mózg go zakodował. Po dziesięciu tysiącach podniesienia stopy jest nadzieja, że ten ruch centrala zapamięta. Mnie to się udało. Działa tylko i wyłącznie rehabilitacja.

(NIE)ZWYKŁY DZIEŃ

U chorych na sklerosis multipleks układ odpornościowy atakuje sam siebie. Od dziecka często się przeziębiałam. Widocznie mój układ nerwowy był najslabszy, dlatego najbardziej ucierpiał w starciu z SM. Życie w ciągłym stresie, ciągle problemy - to obniża barierę immunologiczną. Chcąc coś zrobić, człowiek nie może zrobić nic. Chcą wyjaśnić swój przypadek, nie mogę tego zrobić, bo musiałabym zamieszkać pod chmurką, żeby zrobić wszystkie badania. Czuję się jak w takim zakętym kręgu, z którego chcę wyjść, a nie mogę. Mogę się tylko rzucać jak ryba w sieci. Widzę jakąś możliwość, ale okazuje się, że tej możliwości znowu nie ma. Chcę coś zrobić, popchnąć do przodu i nic. Sobie nie pomogę, ale może pomogę innym. Może jednak coś się uda wyjaśnić. I znowu nie. Znowu bariera. Znów walenie głową w mur. I znów szukanie od nowa. Szukanie ludzi, którzy mogą pomóc. Szukanie kontaktów, selekcja. I znów nic. I znów wszystkie wysiłki na marne. To jest trauma, która ciągnie się w nieskończoność – jak to bieganie do Stuthofu i z powrotem. Biegam, chcę coś wyjaśnić i wracam do punktu wyjścia. Ciągła, przyniatająca niemoc i niewiedza.

Wstaję o szóstej rano, a niejednokrotnie wcześniej. Jadę na wózku do łazienki. Zamykam drzwi. Załatwiam się i myję. Wszystkie ćwiczenia muszę wykonywać przy pustym pęcherzu, bo inaczej nie mogę efektywnie nic zrobić. Kiedy moi najbliżsi jeszcze śpią, ja już ćwiczę w łazience. Wracam do sypialni. Trzymając się kredensu czy parapetu chodzę krokiem odstawno-dostawny i staram się w miarę możliwości podnosić nogi. To trwa codziennie od wielu, wielu lat. Nie ćwiczę cały dzień bez przerwy, bo nie wolno mi się przemęczać.

Gumowe piłki, ring, szarfy elastyczne – wszystkie te przybory rehabilitacyjne staram się zamienić na zwykłe czynności domowe. Jestem w stanie zmyć naczynia, ale żeby wstać muszę się oprzeć o zlew. Ta lodówka z premedytacją jest taka wysoka. Żeby się do niej dostać, muszę wstać, a żeby stanąć, to jeszcze muszę złapać równowagę. Z reguły rano, czyli w godzinach, kiedy jestem najbardziej sprawna, jestem w stanie przy tej lodówce stać. To są takie ćwiczenia regularne i proste. To też jest rehabilitacja. Któregoś dnia obrałam kilka kilogramów ziemniaków. Mąż wrócił z pracy i myślał, że zgłupiałam. Zaczęły mi szwankować ręce - to był najlepszy i najprostszy sposób rehabilitacji palców.

Muszę dbać o układ trawienny, wydalniczy, oddechowy. Dbając o wszystko można zwariować. Musiałam na zasadzie prób i błędów na własnej skórze dokonać selekcji. A żeby to zrobić, musiałam się doksztalcić, stać się swoim własnym lekarzem. Zrozumiałam, że jeżeli nie pomogę sobie sama, to nikt mi nie pomoże. To jest ciągła walka z przeciwnościami, które przynosi każdy dzień. Uregulowałam sobie sen. Zasypiam około godziny 20. Zawsze śpię od 20 do 24, bo w tych godzinach sen jest najzdrowszy. A jak się w nocy obudzę i nie

chce mi się już spać, to czytam książkę, ćwiczę, piję wodę mineralną niegazowaną. To jest katorka. Cały dzień muszę myśleć o tym, że muszę iść o określonej godzinie do łazienki, że muszę dbać o pęcherz, że idąc do łazienki muszę zrobić sto ćwiczeń związanych z pęcherzem i zwieraczami, żeby lekarze nie mogli powiedzieć: pani może już tylko się położyć, bo ma pani całkowity objaw sklerosis multiplex. Nie, nie pozwolę im postawić kropki nad „i”. Ale żeby do tego nie doszło, muszę od samego rana przez cały dzień sparingować się z chorobą. Chcę żyć! Dla mojego syna, rodziny, chcę chodzić, chcę normalnie funkcjonować. Dlatego tak świetnie rozumiem walkę o życie mojego ojca, którą każdego dnia toczył w obozie koncentracyjnym.

WALKA TRWA

W Polsce bardzo długo uważano, że jeżeli ma się wypadek prawej ręki, czy prawej nogi, to trzeba rehabilitować przeciwną, że rusza się jedną stroną, a działa przeciwna. Amerykanie stwierdzili, że należy trenować tą chorą stronę do maksimum możliwości. Połączyłam obie rehabilitacje. Chwytałam się wszystkiego, czego mogłam. Znalazłam taką informację, że mózg potrzebuje określonych substancji naturalnych – jest to specjalna dieta: ryby, mało cukru, dużo ruchu, rehabilitacji, świeżego powietrza i wyciąg z rekina tasmańskiego. Dowiedziałam się, że przyczyną sklerosis multiplex jest również nieszczelność bariery krew-mózg, czyli naczyń krwionośnych. One są podobno przepuszczalne. W związku z tym zaczęłam ratować się rutinokorbinem, dlatego, że on działa uszczelniająco. Podobnie jak lecytyna. Zrezygnowałam ze słodyczy, z cukru, zaczęłam czyścić układ krwionośny.

Bardzo pomogli mi moi rehabilitanci. Dawali mi wskazówki. Udało mi się namówić młodą rehabilitantkę, żeby cały program rehabilitacji specjalnie dla mnie przedstawiała. Wyjeżdżałam z bloku. Wózek stał przy wejściu do klatki schodowej, a ja wstawałam z wózka i przy poręczy chodziła w tą i z powrotem. Jak już byłam zmęczona, rehabilitantka przyprowadzała mi wózek, żebym mogła odpocząć. Później zaczęłyśmy chodzić za rękę po chodniku. Kiedy popsuła się pogoda, zaczęłyśmy ćwiczyć w domu. Wychodziłyśmy na klatkę schodową, szłam do schodów i z powrotem. Teraz wychodzę sama. Wyjeżdżam wózkiem, odstawiam go na bok, a że ręce mam jeszcze sprawne, trzymam się poręczy i ćwiczę na schodach. Spadnę – trudno. Nie stać mnie na rehabilitację przez cały rok, która powinna się odbywać minimum trzy razy w tygodniu po półtorej godziny. Stać mnie było tylko na instruktaż.

Mogłabym pójść do fryzjera, żeby pomalować włosy, ale nie, muszę to zrobić sama, tylko dlatego, żeby ruszyć ręce i kark. Znajduje sobie mnóstwo takich czynności. Codziennie sprawdzam, które mięśnie mam słabsze i co muszę wzmocnić. Jak mi zdiagnozowano sklerosis multiplex, dowiedziałam się, że organizm ludzkim ma czucie głębokie i płytkie. Poprosiłam rehabilitanta o zdiagnozowanie mnie. Mam i czucie głębokie i płytkie, choć słabe. Moja rehabilitacja też często polega na wizualizacji. Chodzi o zakodowanie w głowie określonych ruchów. Bardzo mi to pomaga. Jestem bardzo z tej metody zadowolona.

Chciałabym wrócić do pływania. Kiedy byłam w Konstancinie na rehabilitacji, okazało się, że wskoczyłam do basenu i... spotkała mnie przykra niespodzianka. Lewa noga załamała mi się w stawie biodrowym. Prawa noga była w stanie mnie utrzymać, a lewa ciągnęła mnie w dół.

Wyplwam na głęboką wodę i połowa ciała ciągnie mnie jak kotwica w dół. W pierwszej chwili myślałam, że pójde na dno. Nabrałam powietrza, zanurzyłam się pod wodą i wybroniłam się prawą stroną. Wyplnęłam na powierzchnię i przekreśliłam się na prawy bok. Płynęłam prawą stroną. Położyłam lewą nogę na prawej, żeby mi nie przeszkadzała i

broniałam się prawą częścią ciała. Udało mi się, ale przetoczyłam się na plecy. I tu mnie spotkała następna niespodzianka. Utrzymałam prawą nogę, ale lewa znów pociągnęła mnie na dno. Przedostałam się na płytką wodę i zaczęłam posiłkować się rehabilitacją. Po 45 minutach ćwiczeń w wodzie nad lewą stroną postanowiłam przepłynąć basen. Mój tata przeżył obóz koncentracyjny, a mnie woda pokona? O nie! Wstąpiła we mnie niezwykła energia, niesamowicie się zmobilizowałam. Przeżegnałam się i ruszyłam. Strasznie ciężko mi szło. Rehabilitant chciał po mnie wskoczyć do wody, ale powiedziałam mu, że byłam trenerem pływania i na pewno sobie poradzę, a jak nie to już po mnie, żeby nawet nie próbował mnie ratować. Ale szedł przy mnie cały czas. Obserwował każde moje zanurzenie ręki. To było ponad moją wyobraźnię. Przepłynęłam cały basen i z powrotem. Ale kiedy wracałam, nie miałam już siły. Ściągało mnie tak nieludzko do dołu. Nie wiem, na czym to polegało, ale wygenerowałam z siebie takie pokłady nie tyle energii co wiary, że dopłynęłam. To jest ponad logikę. Ta noga była bezwładna, nie panowałam nad nią i nie liczyło się to, że byłam trenerem pływania. Przecież momentami się topiłam, ale się nie dałam. Mówiłam sobie przez cały czas – nie dopłynę, to się utopię. Trudno, to znaczy, że jestem do niczego. Nie bałam się.

OBÓZ KONCENTRACYJNY

Któregoś dnia, szukając ratunku, poszłam do neurochirurga. Powiedział mi, że ma matkę od lat chorą na sklerosis multiplex i nie może jej pomóc. Pamiętam te słowa: „Jeżeli pani jakkolwiek neurolog powie, że się zna na sklerosis multiplex, to będzie zwykłym kłamcą. Niech pani robi to, co jest pani potrzebne. Oczywiście niech pani się leczy, ale niech pani nie liczy na cuda i musi się pani nauczyć słuchać swojego organizmu. Nie potrafię pani pomóc. Jak będzie pani miała dolegliwości neurochirurgiczne, to zapraszam. Jeśli będzie miała pani w rodzinie kogoś z nowotworem mózgu, podejmuję się operacji”. Tego ostatniego zdania nigdy nie zapomnę.

Mój syn Alek grał w drużynie piłki ręcznej, był wysportowany. Zaczęły się problemy ze snem. Znajomi mówili mi – nic się nie martw, to typowe dla chłopców w okresie dojrzewania. Ale Alek zaczął też narzekać na napadowe bóle głowy. Leżę w szpitalu, mam zabiegi nitoksantronu, a tu mój syn ma takie dolegliwości. Opowiedziałam o nim mojej lekarce. Kazała mi go natychmiast przyprowadzić na oddział. Zrobiła mu badania neurologiczne i nic. Wynika, że jest zdrowy. Ale bóle głowy i zaburzenia widzenia są. Więc skierowała go na rezonans magnetyczny. Wyszłam ze szpitala i pojechaliśmy prosto do prywatnego gabinetu, żeby nie czekać pół roku w kolejce na badanie. Odbieram rezonans i wszystko jasne. Nowotwór dwa razy większy od szyszynki. W opisie były podane wymiary. Sprawdzałam ten rezonans sama pod jedną lampą, drugą, trzecią. To przecież niemożliwe. Dzwonię do mojej lekarki. Słyszysz mój głos. Pyta: - *Co pani jest?* – *Nic, tylko takie a takie są wyniki rezonansu mojego syna. – Ale on jest niepełnoletni. Musi pani poszukać onkologa w Centrum Zdrowia Dziecka.*

Długo nie mogła zasnąć. W końcu zmęczenie mnie zmoгло. Przyśniła mi się moja kuzynka Ewa, która mieszka w Sztokholmie. Jej syn Daniel miał 6 lat, kiedy zaczęło mu się kręcić w głowie. Tracił równowagę. W Instytucie Karolińskim zdiagnozowano nowotwór mózgu. Lekarz przedstawił kuzynce sytuację. Miała wybór – wyrazić zgodę na operację, która nie musiała przynieść poprawy lub liczyć na cud. Ewa podpisała zgodę. Była też druga kobieta, która miała dziecko w tym samym wieku też z nowotworem mózgu. Ona nie podpisała zgody. Danielowi wycięto guz. Lekarze powiedzieli, że jak przeżyje dwa i pół roku, to będzie już wszystko w porządku. Po dwóch i pół roku – tak jak powiedzieli – guz zaczął odrastać. Pojechała do szpitala i spotkała tam tę samą kobietę. Okazało się, że guz u jej synka się

wchłonął, a jej Daniel ma nawrót w tym samym miejscu. Guz zaczął się rozrastać. Lekarze już nie chcieli operować. Mały miał odlegmianie, zaczął mieć wytrzeszcz oczu. Dwa lata trwała codzienna walka o jego życie.

Teraz ja dowiaduję się, że mój syn ma nowotwór mózgu. I te same dylematy – operować, czy nie? Jaką mam podjąć decyzję? Nikt za mnie jej nie podejmie. Po rozmowie z Ewą pojechałam z Alkiem do Instytutu Karolińskiego w Sztokholmie. Lekarz powiedział, że u Alka w mózgu zbiera się płyn i że trzeba założyć sączek. Trudno sobie wyobrazić szesnastoletniego chłopca z sączkiem w głowie. A jak go ktoś popchnie i rozbije głowę? Dzwonię do znajomego neurochirurga i tłumaczę mu jak wygląda sytuacja. Powiedział, że będzie operował, ale natychmiast, bo czas w takiej sytuacji odgrywa ogromną rolę. Tamten sączek, ten czas... Przyjechaliśmy do szpitala o ósmej rano – ja, syn i mąż. Rozmawiam z lekarzem. Syn siedzi koło drzwi. Mąż również. Pan doktor mówi, że trzeba w głowie wywiercić otwór, znaleźć dojskie, ale po drodze są takie, takie i takie niebezpieczeństwa. Może dojść do paraliżu, a nawet śmierci. Alek nie wytrzymał. Uciekł. Mówię do męża: goń go! Pożegnałam się i wyjeżdżam na wózku. Wróciliśmy do domu. Syn mówi, że nie chce być operowany.

Nie mogę w nocy spać. Nie wiem, co mam robić. Następnego dnia znów jadę do tego lekarza. Tłumaczy mi wszystko od początku. Powiedział, że przed operacją musi syna przebadać. Operację wyznaczył na 20 czerwca. Lekarz mówi – niech pani decyduje, syn – nie chce operacji, mąż mówi – decyduj. Świetnie. Jedna noc nieprzespana, druga, trzecia. Mam termin operacji. Badania wykazały, że nowotwór cały czas pracuje. Którejś nocy doznałam olśnienia: „Jeśli będzie miała pani w rodzinie kogoś z nowotworem mózgu, podejmuję się operacji”. Trzymam w ręku telefon. Czekam na godzinę ósmą, jak na zbawienie. Dzwonię do pana doktora – rezygnuję z terminu operacji. To była desperacja totalna. Dowiedziałam się, gdzie pracuje ten neurochirurg. Pakujemy się z mężem i synem do samochodu. Jedziemy do szpitala. – *O jednak przyjechała pani do mnie. – Cieszę się, że mnie pan poznał. – Co słychać?* I zaczynamy żartować. Alek z mężem czekają na korytarzu. – *Widzi pan, jak to dziwnie się składa. Przywiozłam panu prezent. – Co? Przywiozła mi pani nowotwór?* – żartuje lekarz. – *No pewnie i to jaki!?* On znów myśli, że ja żartuję. – *Poważnie?* – *Tak.* – *Kogo?* – *Syna.* Widzę jak mu rzędnie mina. Już mu nie było do żartów. – *To co? Zgodnie z umową będzie go pan operował?* Cisza. Nie wierzy. – *Gdzie go pani ma?* – *Za drzwiami. Będzie go pan operował, czy nie?* – *Obiecałem pani, to będę.*

Alek został w szpitalu. Zrobił mu wszystkie badania i kazał poczekać, żeby zobaczyć, czy nowotwór będzie narastać. Jedno, drugie, trzecie badanie – nie rośnie. Lekarz mówi – możemy poczekać. Nie wytrzymałam – nie będziemy czekać! To była decyzja, od której już nie widziałam odwrotu. Na osiem osób operowany wtedy przez pana doktora – jeden mój Alek żyje. Po operacji miał niedowład nóg. Ćwiczył non stop. Całe życie widział matkę na wózku walczącą z chorobą, walczącą z przeciwnościami i zrobił dokładnie to samo. Chodził na kulach, teraz już ich nie potrzebuje. Zdał maturę, poszedł na studia, zrobił prawo jazdy. I chce żyć.

To psychika kieruje naszym organizmem. Można być zmutowany pokoleniem drugiej generacji, ale człowiek jest w stanie wszystko przewalczyć, jeśli ma silną psychikę i otaczający go zespół pozytywnych impulsów. Zmorą XX wieku były obozy koncentracyjne, a XXI wieku są nieuleczalne choroby. Co zrobić, żeby przeżyć? Co zrobić, żeby żyć normalnie, świadomie, spokojnie? Obóz koncentracyjny – to draństwo ludzkie, mnie dotyka draństwo choroby. Choroba to taki drań, który człowieka niszczy i nie pozwala mu normalnie żyć.

Ciągła walka z wrogiem, który jest podstępny, bezwzględny, nieobliczalny. Nie wiadomo, jak z nim walczyć, bo jest silniejszy od nas, ma większą władzę. Ale trzeba szukać sposobu. Podstawą też jest wiara, że może być lepiej, że można wyzdrowieć, że można przeżyć swój własny obóz koncentracyjny.